MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 17. WARSZAWA, 9 KWIETNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

„KLUB POKOJU"

BRYTYJSKI premjer Mac Donald nazwał w rozmowie z dziennikarzami francuskimi zaprojektowany przez Mussoliniego „koncert czterech mocarstw" — klubem pokoju.

Nazwa ta, o ile nie jest ironiczną, wskazuje na to, że pewne sfery polityczne dzisiejszego świata pozbawione są całkowicie wyobraźni i nie zdają sobie sprawy z tego, co się dokoła nich dzieje. Projekt paktu rzymskiego nietylko nie posiada żadnych cech pokojowych, ale wręcz jest przygotowywaniem wojny, która nieuchronnie musiałaby wybuchnąć z chwilą, gdy zamierzona tam rewizja granic zaczęłaby przybierać realne kształty. Żadne z państw zainteresowanych dobrowolnie nie zgodzi się na oddanie części swojego terytorjum i na próbę zrewidowania swoich granic, uczynioną nawet w imieniu czterech zjednoczonych w „klubie pokoju" mocarstw, odpowie wojną. Rzecz ta jest tak oczywista, że trudno przypuścić, aby włoscy autorzy rzymskiego planu mieli co do tego jakiekolwiek złudzenia. Zresztą dążenia polityki włoskiej są jasne i zdecydowane.

Faszyzm, jak wynika ze słów Mussoliniego, nie wierzy ani w możliwość, ani w użyteczność stałego pokoju, a koncepcje i ustroje międzynarodowe są mu najzupełniej obce. Dyplomacja włoska trzyma się starej, wypróbowanej prawdy, że polityka musi zawsze posiadać cele pozytywne i rozumie, iż uprawianie polityki zagranicznej, której główną zasadą jest uniknięcie za wszelką cenę wojny, prowadzi do samobójstwa narodu.

Rozpatrując projekt paktu rzymskiego, należy pamiętać o tym realizmie polityki włoskiej i, odrzucając modną frazeologję pokojową, doszukiwać się w nim pozytywnych celów włoskiego imperjalizmu. Sprowadzają się one przedewszyskiem do zagadnień śródziemnomorskich oraz do ekspansji włoskiej na terenie bałkańskim.

Zważywszy przeciwieństwa włosko-francuskie i włosko-jugosłowiańskie, cele te nie są wcale łatwe do urzeczywistnienia i Mussolini próbuje wytworzyć taki układ sił w Europie, którył mu umożliwił stopniową ich realizację.

Zrodzenie się projektu rzymskiego zawdzięczać należy w dużym stopniu niefortunnej polityce francuskiej.

Niemal od pierwszych dni kongresu pokojowego, zwycięska Francja znajduje się ciągle w defensywie. Nie zdołała ona uzyskać w traktacie pokojowym realnych gwarancyj bezpieczeństwa, a po kongresie prowadziła z małemi przerwami politykę stałych ustępstw na rzecz Niemiec.

Zapoczątkowana w pierwszych latach po wojnie polityka sojuszów, która miała na celu zorganizowanie w środkowej i południowo-wschodniej Europie silnej tamy przeciwko odwetowym dążeniom Niemiec, niedługo została zaniedbaną i ustąpiła miejsca pogoni za ogólno-europejską gwarancją bezpieczeństwa oraz utrzymaniem chociażby pozorów „serdecznego porozumienia" z Wielką Brytanją.

Po kilku latach takiej polityki Francja znalazła się oko w oko z odradzającą się potęgą niemiecką, z antyfrancuską postawą faszystowskich Włoch i z wyraźnem dążeniem Wielkiej Brytanji do

roli europejskiego arbitra, rozstrzygającego spory, z reguły na korzyść rewizjonistycznych dążeń niemieckich. Natomiast polityczny system francuski w środkowej Europie, oparty na przymierzu z Polską i Małą Ententą, uległ poważnej dezorganizacji i wiele stracił na swojej pierwotnej wartości.

W tym stanie rzeczy, dyplomacja włoska uznała, że jest czas ku temu, aby wprowadzić rewizję granic na teren oficjalnych obrad międzynarodowych.

To wystąpienie włoskie „*Gazetta del Popolo*" zaopatrzyła buńczucznym komentarzem, w którym pisze, że „czas stworzyć wszechwładny dyrektorjat wielkich mocarstw i zlikwidować przesadne przywileje niepełnoletnich narodów". „Przywileje niepełnoletnich narodów" polegają na tem, że zdobyte przez nie własną krwią granice są nietykalne. Trudno nazwać to „przywilejem przesadnym". Natomiast wiele przesady zawiera ślepa wiara pisma włoskiego w potęgę t. zw. wielkich mocarstw.

Dyrektorjat czterech wielkich mocarstw w powojennej Europie, w szczególności w chwili obecnej, kiedy mocarstwa te, niemal bez wyjątku, znajdują się w ogromnych i długotrwałych trudnościach wewnętrznych, nie może być odtworzeniem wszechwładnego koncertu przedwojennego. Zdolność wielkich mocarstw do akcji bezpośredniej, którąby nie wypływała z oczywistej konieczności obrony własnych granic, jest w dzisiejszej chwili bardzo ograniczona.

Wymownym przykładem tego jest chociażby zatarg chińsko-japoński w Mandżurji.

Czy uchwały genewskie, pod któremi widnieją podpisy wszystkich kandydatów do „wszechwładnego dyrektorjatu", zostały poparte chociażby demonstracją zjednoczonej floty na wodach japońskich?

Koncert zaś, który nie może z łatwością wyegzekwować swoich postanowień, a jednocześnie usiłuje narzucić innym państwom swoją wolę, stanie się tylko źródłem konfliktów i zamętu, ale nigdy nie będzie fundamentem pokoju i porządku międzynarodowego.

Nie znaczy to jednak, aby rozmowy rzymskie Mussoliniego i Mac Donalda nie stanowiły poważnego wydarzenia w polityce międzynarodowej. Realizm Mussoliniego każe przypuszczać, że dyktator Włoch, zdając sobie sprawę z trudności przeprowadzenia w danej chwili rewizji granic, odkłada to zadanie na szereg najbliższych lat, tymczasem zaś zmierza do zasadniczej zmiany i przegrupowania politycznych sił w Europie.

Uwikławszy Francję w politykę „klubu pokoju", odsuwałby ją coraz bardziej od jej sprzymierzeńców i uzyskałby stopniowo odosobnienie Francji oraz osłabienie Małej Ententy.

Dla osiągnięcia tego celu Włochy, *volens nolens*, muszą się zgodzić na rewizjonistyczne dążenia Niemiec, skierowane przedewszystkiem przeciwko Polsce. Dlatego też zarówno opinja jak i dyplomacja niemiecka powitały projekty Mussoliniego z ogromnem zadowoleniem. W Niemczech zrozumiano, że Rzesza w „klubie pokoju" ma wiele do zyskania, a niemal nic do stracenia. Nawet gdyby z tych czy innych powodów dyrektorjat czterech mocarstw nie mógł załatwić sprawy rewizji granic, zawsze będzie musiał ostatecznie przyjąć zasadę militarnego równouprawnienia Niemiec, a przy sprzyjających okolicznościach osłabić zbrojenia francuskie.

Stanowisko Francji wobec propozycyj rzymskich nie zostało jeszcze ostatecznie wyjaśnione. Jednakowoż z głosów prasy francuskiej i z dotychczasowych posunięć dyplomacji francuskiej należy wnosić, że będzie ono bardzo połowiczne. Francja, prawdopodobnie, postawi szereg warunków, sprowadzających się do żądania uzgodnienia paktu rzymskiego z paktem Ligi Narodów, zechce zastrzec prawo udziału Polski i Małej Ententy w obradach, dotyczących ich interesów, ale propozycji Mussoliniego, jakby należało — nie odrzuci.

I w tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo.

Projekt włoski, chociażby w zmienionej formie, o ile stanie się ciałem, zaciąży nad Europą widmem nieuniknionej wojny i zmusi narody zagrożone do energicznej akcji obronnej.

Dotyczy to szczególnie nas i Małej Ententy. Dlatego też sądzimy, że mamy zupełne prawo zapytać naszą sojuszniczkę francuską, czy jej udział w porozumieniu, mającem na celu rewizję granic, nie stoi w zasadniczej sprzeczności z obowiązującem oba nasze kraje przymierzem?

Dla nas sprawa ta jest najzupełniej jasna. Frazeologja pacyfistyczna i prawnicze wybiegi w niczem nie zmienią faktu, że celem projektowanego dyrektorjatu czterech mocarstw jest rewizja granic. Pragnęlibyśmy, aby i opinja francuska w ten sam sposób zapatrywała się na tę sprawę.

Próba odebrania części naszych ziem zostałaby potraktowana przez naród polski jako napad, na który jedyną odpowiedzią musi być tylko — wojna. Inne stanowisko jest nie do pomyślenia w narodzie, który nie pragnie wojny, przekłada ją jednak ponad nikczemność. Pragnęlibyśmy, żeby o tem wiedzieli przedewszystkiem nasi przyjaciele, związani z nami sojuszem obronnym.

Dla dyplomacji polskiej nadeszła chwila usilnej czujności i zdecydowanych rozstrzygnięć. Niebezpieczeństwo rewizjonistyczne zarysowało się przed nami plastycznie na dłuższy okres czasu. Wraz z nami dotyka ono Małą Ententę, która, jak widać, w zupełności docenia jego powagę. Wielki czas, aby polityka polska znalazła skuteczne sposoby zaciśnięcia węzłów łączności z państwami, wchodzącemi w skład „małego porozumienia". Stoi

przed nami konieczność zbudowania silnego systemu politycznego w środkowej i wschodniej Europie, który mógłby sprostać grożącemu niebezpieczeństwu. System ten opierać się powinien na ścisłem zbliżeniu z Małą Ententą i na porozumieniu z Rosją. Wierzymy, że Francja, tak jak dotychczas, będzie w tym systemie zajmowała należne sobie miejsce. Gdyby jednak polityka francuska zeszła na manowce rewizjonizmu, będziemy musieli sami sprostać zadaniom. Polska wraz z Małą Ententą stanowi blok państw z sobą bezpośrednio sąsiadujących, rozciągających się od morza do morza i stanowiących około 80 milj. mieszkańców. Zważywszy położenie wewnętrzne tych państw, które pod wielu względami jest pomyślniejsze od położenia naszych przeciwników, możemy z otuchą patrzeć w przyszłość. Naturalnie pod jednym warunkiem: że zdobędziemy się na politykę w wielkim stylu. Zarówno zewnętrzną, jak i wewnętrzną.

ZYGMUNT BEREZOWSKI

ZAKOŃCZENIE DYSKUSJI

NOWY — ostatni — artykuł prof. Grabskiego w sprawie rokowań ryskich wniósł już tylko niewiele nowych momentów do prowadzonej w tej sprawie dyskusji. Jako jej wynik można przyjąć ustalenie następujących faktów:

1) Mińska i Kamieńca w Rydze ze strony polskiej nie żądano.

2) Ś. p. Jan Dąbski napisał w swej książce: „Ustąpliwszymi byliby bolszewicy rosyjscy w sprawie oddania pod wpływy polskie Białej Rusi, ale próby postawienia tej sprawy w Rydze natrafiły na zdecydowany opór ze strony polskiej“. Prof. Grabski na postawione wręcz zapytanie, czy to prawda, odpowiedział milczeniem. Napisał natomiast ogólnikowo: „Ale wszystkie podane w jego (Dąbskiego) książce fakty są prawdziwe“. W poprzednich moich artykułach wyciągnąłem z tego wniosek, że należy to uznać za potwierdzenie. Pisałem również — w związku z twierdzeniem Dąbskiego — że „wszak nie jest tajemnicą, że konserwatyści kresowi i cała sanacja twierdzą, iż to właśnie prof. Grabski był w Rydze zwolennikiem największej powściągliwości w żądaniach i najdalej posuniętych rezygnacyj“. W odpowiedziach swoich prof. Grabski nie sprzeciwił się powyższym wnioskom, — wobec tego należałoby uznać, że je milcząco potwierdza.

Prof. Grabski pisze wprawdzie ogólnikowo w ostatniej swej odpowiedzi, że nie widział możliwości uzyskania Mińska od Sowietów, a nawet, że w jego przekonaniu uzyskanie Mińska wymagałoby nowej wojny, — ale na poparcie powyższej opinji, będącej w jawnej sprzeczności z tem, co podaje Dąbski, nie wysuwa ani jednego konkretnego argumentu, któryby zdanie Dąbskiego podważał albo ścisłość relacji jego podawał w wątpliwość. Opinję tę, w tych warunkach, trudno jest uznać za zaprzeczenia relacji Dąbskiego.

Relacje więc obu wybitnych uczestników rokowań ryskich brzmią w ten sposób, że jeden wypowiada w obchodzącej nas tu sprawie twierdzenie, brzmiące kategorycznie, a drugi, powstrzymując się od zaprzeczenie temu twierdzeniu, wypowiada szereg ogólnikowych uwag na peryferjach tematu i sedna zagadnienia nie dotyka. Jest to już poważna podstawa do sformułowania ostatecznego wniosku. Wniosek ten wypadłby jeszcze wyraziściej, jeśli przywołać dodatkowo świadków dalszych. A więc: Edward Woyniłłowicz, wybitny działacz z Mińszczyzny, pisze w swoich pamiętnikach[1]) że Mirosław Obiezierski, który jako delegat organizacyj kresowych brał udział jako ekspert w rokowaniach ryskich, publicznie stwierdzał, iż Joffe ustępował chętnie kresy białoruskie, ale prof. Grabski wziąć Mińska nie chciał. Jak wynika z komunikatów sztabu, wojska polskie swobodnie nacierały na Mińszczyznę, a nawet spory jej szmat, równocześnie niemal z zakończeniem petraktacyj rozejmowych, objęły w posiadanie. Nawet Słuck był już w ręku polskiem (komunikat z dn. 12. X. 1920 r.). Dopiero w wyniku układów ryskich wojska nasze musiały się cofnąć, jak mówi komunikat z dnia 17. X. 1920 r.: „W okręgu Mińska oddziały nasze wycofują się na linję rozejmową“.

3) Mińsk objęty był linją Komitetu Narodowego w Paryżu. Jak pisze prof. Grabski, autorem tej linji był Roman Dmowski. Jednak, jak pisze dalej prof. Grabski, — w okresie rokowań ryskich nikt o urzeczywistnienie tej linji nie walczył,—a m. in. nie walczył również i p. Roman Dmowski, gdyż wycofał się już naonczas z życia politycznego. Powyższe fakty nie pozostają jednak w sprzeczności z twierdzeniem, że zachodziły różnice między koncepcją granicy wschodniej Komitetu Narodowego, a koncepcję prof. Grabskiego i że prof. Grabski walczył w Rydze o urzeczywistnienie koncepcji swojej własnej.

Prof. Grabski dysponuje argumentami, przemawiającemi przeciw włączeniu w swoim czasie Mińska do Polski. Nie da się jednakże zaprzeczyć, że Mińszczyzna była krajem kulturalnie polskim, zaś etnograficznie podatnym do spolszczenia (niepozbawionym zresztą silnej mniejszości polsko-katolickiej), oraz że włączenie jej do Polski byłoby nam dało lepsze zaokrąglenie gospodarczego obszaru kresów i lepsze granice strategiczne, a byłoby uratowało jej polski żywioł od zagłady. Co zaś do żydów w samym Mińsku, — argument ten możnaby z równą słusznością zastosować do szeregu miast w głębi Polski, których się przecież wyrzekać nie chcemy. Jak pisze Woyniłłowicz (str. 302), „wszelkie zaścianki szlacheckie, które dały masę ochotników do wojska polskiego, tak w okolicach ihumeńsko-mińskich, jak i słuckich“, przez pozostawienie tych okolic (częściowo już przez wojska polskie zajętych) przy Sowietach, zostały narażone na bolszewicką zemstę. W samym Mińsku, tuż po podpisaniu rozejmu, bolszewicy rozstrzelali 140 osób (Woyniłłowicz, str. 300).

* * *

*) E. W., „Wspomnienia 1847 — 1928“. Wilno 1931, stronica 299.

W zakończeniu dyskusji z przykrością muszę stwierdzić, że istotny przedmiot sporu uległ w niej pewnemu zatarciu. W świetle ostatniego zwłaszcza artykułu prof. Grabskiego mogłoby się zdawać, jakoby początkiem dyskusji była rzekoma pretensja do delegacji w Rydze, iż w walce o pewne postulaty nie była ona w możności Sowietów przełamać. W istocie, pretensja taka w żadnym momencie dyskusji wypowiadana, rzecz prosta, nie była. Istotnym punktem wyjścia dyskusji jest natomiast zapytanie, czy prawdziwe są twierdzenia, zawarte w książce Dąbskiego, a przedewszystkiem, czy prawdziwe jest twierdzenie, że Mińsk można było od Sowietów otrzymać, lecz że delegacja polska świadomie wziąć go nie chciała. Na zapytanie to, będące od początku osią niniejszej dyskusji, odpowiedź aż do samego jej końca nie padła, — natomiast padł szereg argumentów, będących wyważaniem drzwi otwartych, stanowiących odpowiedź na zapytania, które przez nikogo nie były stawiane.

* * *

Prócz momentów merytorycznych prof. Grabski wprowadził do swego ostatniego artykułu pewne akcenty natury osobistej. Nie dotyczą one *meritum* dyskusji, — pozostawiam je więc na boku. Jedną tylko rzecz pozwalam sobie stwierdzić, że nie przemawiałem w tej dyskusji, jak pisze prof. Grabski, w imieniu jakiegoś ogólniejszego gremjum „młodych", lecz jedynie w imieniu własnem. O ile sobie Czytelnicy przypominają, dyskusja cała zaczęła się od mego artykułu, w którym postawiony był szereg zapytań pod adresem obozu „federalistów". Zapytania pod adresem prof. Grabskiego wyłoniły się dopiero później, — w toku dyskusji i w wyniku Jego artykułu w „ABC".

Jeżeli te pytania stawiałem—chodziło mi tylko o wyświetlenie faktów historycznych, dotąd niejasnych, a obchodzących, sądzę, wielu Polaków, bez względu na ich wiek.

Czy pytania te postawić należało? Niech Czytelnicy osądzą.

A teraz uwaga, na marginesie. Przypomnienie sprawy granic wschodnich dało prof. Grabskiemu sposobność do wypowiedzenia pewnych uwag na temat granic zachodnich. Uwag tych niepodobna pominąć milczeniem. Wymieniwszy *expressis verbis* Górny Śląsk, Warmję i Gdańsk, pisze prof. Grabski, „że linja Komitetu Narodowego (na zachodzie — przyp. mój) nie była programem realnie osiągalnych granic,—że miała taktyczne tylko znaczenie". Jest to niewątpliwie *lapsus*,—ale czy dopuszczalne są w polskiej publicystyce takie pomyłki? Polska żądała Gdańska, Opola i Olsztyna nie ze względów taktycznych. Nie miał tu miejsca, jak to uznał za stosowne określić prof. Grabski, „żydowski handel, w którym się żąda dwa razy więcej, niż można naprawdę dostać". Gdańsk, Opolskie i Warmja są, były i będą częścią odwieczną naszego dziedzictwa narodowego.

JĘDRZEJ GIERTYCH

NIEOPANOWANIE PRZEDMIOTU

Artykuł mój, pod tytułem „Tragedja Górnego Śląska", wywołał polemiczne wystąpienie pana P. B. Markiewicza w „Kurjerze Polskim". (Nr. 81 z dn. 22 marca) P. Markiewicz przyznaje się odrazu, że artykułu mojego nie czytał, a zna go jedynie z drobnego wyjątku, podanego w „Kurjerze Warszawskim". Nie przeszkodziło to jednak p. Markiewiczowi w wydaniu opinji, że artykuł mój „zawiera fałszywe zgoła pojęcia o warunkach, w jakich pracuje górnictwo węglowe i wyraża opinje, które zdradzają zupełne nieopanowanie przedmiotu".

Jestem niesłychanie skruszony moją ignorancją. Przykro mi, że pisałem o przedmiocie, którego nie opanowałem. Pociesza mnie jedynie ta okoliczność, że są ludzie, którzy piszą o artykułach nieprzeczytanych przez siebie.

P. Markiewicz pisze, że przemysł węglowy musi eksportować na rynki skandynawskie dla zapewnienia dopływu walut zagranicznych i dla dania zajęcia wielu dziesiątkom tysięcy robotników. Z tego ma rzekomo wynikać, że przemysłowi węglowemu nie wolno cofać się z rynków skandynawskich. Myślą przewodnią mojego artykułu było wykazanie, że deficytowy eksport węgla ujemnie wpływa na nasz bilans płatniczy i na stan zatrudnienia. Oczywiście na dłuższą metę. Niech mi wolno będzie wyrazić pokorną prośbą pod adresem p. Markiewicza, by zechciał przeczytać najpierw to, co o tem napisałem, a później dopiero wymyślał mi od ignorantów. Dla objaśnienia pragnę zaznaczyć, że podobne moim pogląd mają na tęprawę, o ile mi wiadomo, wszyscy profesorowie ekonomji na wyższych uczelniach w Polsce. Przypisać to należy zapewne nieopanowaniu przedmiotu przez tych ostatnich. Szkoda, że biedacy nie otrzymują bezpłatnie „Kurjera Polskiego". Mogliby się czegoś nauczyć.

Porozmawiamy jednak na serjo. Należy się to p. Markiewiczowi, który po kilku lirycznych uwagach i mało wytwornych epitetach pod moim adresem przechodzi także do poważnych argumentów.

Pisze mianowicie p. Markiewicz, że

„potężny przemysł węglowy angielski, korzystający z premij, z dobrodziejstw polityki walutowej Banku Angielskiego, z własnych zasobów, tanich frachtów i *last but not least* — z politycznej potęgi swego państwa, oparty o te atuty, zyskuje terenu krok za krokiem. Terenu, o którego zdobycie walczyliśmy długie lata, ponosząc wielkie ofiary materjalne i przez nikogo nie wspierani. Więc też Anglji, niestety, nie „zmusimy" do zawarcia z nami porozumienia. Pracowaliśmy nad tem z pewnem wpływowem gronem Anglików przez lat kilka, aby wkońcu się rozejść, albowiem Anglicy wyczuli, że „wcześniej, czy później" pogrążą nas i powrócą triumfalnie na rynki, które były przez długi czas wyłączną domeną ich ekspansji. Mówię to z zupełną znajomością rzeczy, brałem bowiem osobiście udział w odnośnych pertraktacjach".

Jeżeli zatem Anglicy powrócą triumfalnie na rynki skandynawskie — wcześniej czy później, to powstaje pytanie, czy wogóle opłaci się prowadzić walkę o te rynki i ponosić w tym celu olbrzymie ofiary? Chodzi tu przecież nie tylko o to, że przemysł węglowy otrzymuje za tonnę węgla, sprzedanego na rynkach północnych 7-8 zł., podczas gdy wewnętrzna cena wynosi zł. 32. — ale także o to, że przewóz węgla ze Śląska do Warszawy kosz-

tuje zł. 18. —, a ze Śląska do Gdyni na eksport zł. 7. —. W tym punkcie przyznaję rację p. Markiewiczowi, który mówi o obniżeniu taryf kolejowych. Ja także o tem pisałem.

Powstaje pytanie, dlaczego Anglja ma mocniejszą od nas pozycję na rynkach skandynawskich? Sądzę, że przypisać to należy mocnemu oparciu o pojemny rynek wewnętrzny. Anglja doniedawna nie znała podwójnych cen, wewnętrznych i eksportowych. To jest moment dość istotny, obok tych, które wymienia p. Markiewicz.

Twierdzi on także, że obniżka cen węgla, nawet znaczna, sama przez się w dzisiejszych czasach większego spożycia jego nie sprowadzi. Może znaczy to, że ceny węgla nie mają żadnego wpływu na zbyt wewnętrzny? W takim razie należałoby o 100% podwyższyć ceny węgla, co umożliwiłoby wspaniały rozwój eksportu dla zapewnienia dopływu waluty zagranicznej i dla dania pracy dziesiątkom tysięcy robotników. Wtedy może Anglicy nie pogrążyliby nas na rynkach skandynawskich?

Radziłbym p. Markiewiczowi zastanowić się nad tem zagadnieniem. Może pogłębiłby wówczas swoje „opanowanie przedmiotu“.

W ostatnim roku wywieźliśmy na rynki skandynawskie 5·5 miljonów ton węgla. Niech p. Markiewicz zapyta swych przyjaciół ze „Skarbofermu“, jaką cenę za węgiel *loco* kopalnia uzyskali przy przetargu dla Kolei Szwedzkich? Według moich skromnych informacyj zł. 2. — za tonę. To jest wyjątek — przyznaję, regułą jest cena 7. zł. — ale czy wobec ostatnich zarządzeń Anglji wyjątek ten nie stanie się regułą? Cena zł 2. — *loco* kopalnia równa się cenie zł. 9. — *franco* wagon Gdynia. Czy zatem istotnie kwota zł. 49·5 miljonów rocznie miałaby takie decydujące znaczenie dla naszego bilansu płatniczego?

A teraz jeżeli chodzi o robotników. Cena zł. 2. — za tonę pokrywa ułamek kosztu robocizny. Z równem powodzeniem zatem możnaby zamiast eksportować węgiel na rynki skandynawskie kazać robotnikom kopać rowy i zasypywać je znowu.

Uważam, że na dłuższą metę zniżka ceny wewnętrzej, przez ogólne obniżenie kosztów produkcji w kraju, przyczyni się do wyrównania strat w bilansie handlowym i w stanie zatrudniania, jakie pociągnie za sobą rezygnacja z deficytowanego eksportu. Ten pogląd uzasadniałem już obszernie na łamach „Myśli Narodowej“. Gdyby zniżka cen węgla przeprowadzona była przed rokiem, skutki jej odczuwalibyśmy już teraz. Obecnie nie nastąpią one bezpośrednio. Nie widzę jednak, dlaczegobyśmy mieli czekać, aż sytuacja stanie się jeszcze gorszą?

Nie mogę rozpatrywać wszystkich zarzutów p. Markiewicza. Na zakończenie chciałbym tylko powiedzieć, że nie uważam, aby wycofanie się z rynków skandynawskich miało być definitywne. Wszak był czas, kiedy ani tony węgla nie wywoziliśmy na te rynki. Kto wie, co przyniesie przyszłość i czy Anglja nie będzie jeszcze żałować, że nie doprowadziła do porozumienia węglowego z Polską.

WOJCIECH ZALESKI

PRZED DYSKUSJĄ NAD USTROJEM KAPITALISTYCZNYM

(Dokończenie)

V

PRZECHODZĄC do zagadnienia formy przedsiębiorstwa — nasz przegląd teoretyczny rozpoczniemy od przedsiębiorstwa nowoczesnego, opartego na prywatnej własności i wolności gospodarczej, i to w formie przedsiębiorstwa jednostkowego[1]). Jest to przedsiębiorstwo, którego właścicielem jest jednostka, konkretny gospodarz. Temu to indywidualnemu przedsiębiorcy zawdzięcza Europa, a z nią świat cały, olbrzymi postęp gospodarczy od XVII do XIX w. On był tym bohaterem życia ekonomicznego, istotnym twórcą maszynowo-fabrycznego przemysłu. Przedsiębiorstwo jednostkowe posiada szereg dodatnich cech organizacyjnych, związanych przedewszystkiem z psychologją człowieka jako podmiotu gospodarczego. W naszym schemacie stanowi ono, jak już wspomnieliśmy, pierwsze ogniwo w ewolucyjnym szeregu form przedsiębiorstwa.

Drugą z kolei formą przedsiębiorstwa będzie przedsiębiorstwo zrzeszeniowe. Jest to przedsiębiorstwo, którego właścicielem nie jest jednostka, ale zrzeszenie jednostek, oparte na dobrowolnej umowie. Klasycznym przykładem tej formy jest spółka akcyjna. Przedsiębiorstwo zrzeszeniowe wyrosło z konieczności aglomeracji kapitału, potrzebnego do kosztownych instalacyj maszynowych w wielkiej produkcji fabrycznej i jako skuteczne narzędzie tej aglomeracji odegrało naprawdę historyczną rolę w ogólnym rozwoju gospodarczym, niemniejszą od pionierskiej roli przedsiębiorstw jednostkowych. Ta zasadnicza przewaga formy zrzeszeniowej nad jednostkową, wynikająca ze zwiększonej zdolności do skupienia kapitału, jest jednak równocześnie jedyną przewagą. Pozatem bowiem typ powyższy wykazuje szereg słabych stron, wśród których zagadnienie „władzy“ w spółce akcyjnej wysuwa się na czoło wszystkich bolączek. Reformy, przeprowadzane w tym zakresie, doprowadziły do powstania charakterystycznych form pseudo-zrzeszeniowych, opartych na supremacji „śpiącego wspólnika“ (akcjonarjusza). Nie mając możności choćby pobieżnego przeglądu tych kapitalnych zagadnień, zaznaczamy tylko ich istnienie.

Jako typ trzeci w ustroju przedsiębiorstw mamy przedsiębiorstwo prawno-publiczne, będące specjalną odmianą przedsiębiorstwa zrzeszeniowego. Jest to przedsiębiorstwo, którego

[1]) Terminologja i fragmenty definicyj w całym tym rozdziale wzięte od prof. E. Taylora „(Systematyczny Kurs Ekonomiki — Teorja Produkcji)“.

właścicielem jest państwo lub taki czy inny związek samorządowy. O ile rozwój poprzednich dwu form był wywołany potrzebami gospodarczemi, o tyle przedsiębiorstwa prawno-publiczne powstawały historycznie pod naciskiem czynnika politycznego. Typ ten posiada z zasady zalety przedsiębiorstwa zrzeszeniowego, związane z możnością operowania wielkiemi kapitałami, przytem wszystkie jego braki, tylko w wysokim stopniu spotęgowane. Zasada komercjalizacji przedsiębiorstw prawno-publicznych stara się braki powyższe złagodzić, aczkolwiek bez pełnego sukcesu. Przedsiębiorstwo prawno-publiczne pojawiło się, historycznie rzecz biorąc, bardzo wcześnie (np. fabryki państwowe we Francji za Colberta), jednakże na większą skalę rozwinęło się ono dopiero w ostatnich czasach, w znacznej mierze ze względów fiskalnych (np. monopole państwowe).

Mając w świadomości powyższą klasyfikację i obserwując życie gospodarcze w ciągu ostatnich 150 lat, możemy stwierdzić bardzo charakterystyczną ewolucję, o czem już nawiasowo wspomnieliśmy. Polega ona na tem, że przedsiębiorstwo jednostkowe traci stopniowo na znaczeniu i że w związku z zasadą koncentracji, tak silną w dziedzinie produkcji przemysłowej, handlu i finansów, na czoło wysuwają się przedsiębiorstwa zrzeszeniowe. Stworzyły one w dalszej ewolucji własne, wyższe formy organizacyjne, cały wielki świat trustów i karteli, ogarniających, całkowicie nieraz, poszczególne gałęzie wytwórczości.

Równolegle do tego procesu zachodzą pewne zmiany i w „statystycznym" wyrazie formowania się ceny. Cena mniej więcej konkurencyjna coraz częściej poczyna się przemieniać w cenę warunkowego monopolu. Liczne monopole prawne państwowe upowszechniają cenę monopolu bezwarunkowego. Podobnie działają tendencje, zmierzające do ustawowej, względnie przymusowej kartelizacji.

Potężny rozrost trustów i karteli, z równoczesnem upowszechnianiem się ceny monopolu bezwarunkowego stanowi zjawisko niezmiernie charakterystyczne. Teorja umieszcza je bowiem na pograniczu dwu światów. Jednym z nich jest ustrój własności indywidualnej, drugim — ustrój własności kolektywnej. Przedsiębiorstwo kolektywne tem się różni od trustu, poza różnicą w tytule własności, że zawsze posiada monopol bezwarunkowy, prawny. Z chwilą, gdyby większość gałęzi produkcji ujęta została w ramy monopolu prawnego, chociażby tylko prywatnego, dane gospodarstwo społeczne upodobniłoby się bardzo silnie do gospodarstwa kolektywnego. Mamy więc wyraźnie zaznaczony punkt graniczny, lub ściślej—odcinek graniczny.

O ile w ustroju indywidualistycznym punkt wyjścia stanowiło przedsiębiorstwo jednostkowe — o tyle w ustroju kolektywistycznym schemat teoretyczny należy rozpocząć od przedsiębiorstwa kolektywizmu integralnego. Jest to jakgdyby wielkie przedsiębiorstwo prawno-publiczne z ustroju indywidualistycznego, obejmujące ogół środków produkcji. To jedno jedyne przedsiębiorstwo, będące własnością całego społeczeństwa, rozbite jest na szereg zakładów, kierownictwo jest scentralizowane, plan produkcji zgóry ustalony, a wykonanie powierzono poszczególnym zakładom. Przedsiębiorstwo kolektywizmu integralnego posiada wszystkie zalety przedsiębiorstwa prawno-publicznego i wszystkie jego wady, wzmożone tylko w wysokim stopniu w związku z charakterem bezwzględnego i powszechnego monopolu.

Podobnie jak konieczność aglomeracji kapitału wywołała w ustroju indywidualistycznym powstanie zrzeszeniowych form przedsiębiorstwa, wiodących gospodarstwo społeczne w kierunku centralizacji— konieczność ograniczenia zasadniczych braków organizacyjnych kolektywizmu integralnego uzasadnia tak samo powstanie form innych, wiodących z kolei w kierunku decentralizacji. Społeczeństwo, zamiast jednego, może stanowić cały szereg przedsiębiorstw, których właścicielami będą osoby w nich pracujące, połączone w związki prawno-publiczne. Przedsiębiorstwo takie, podzielone również na szereg zakładów, stanowiące samodzielny ośrodek dyspozycji gospodarczej i poddane jedynie pewnej koordynacji organu centralnego, określa się nazwą przedsiębiorstwa kolektywizmu syndykalistycznego. W stosunku do poprzednio omówionego typu przedstawia ono szereg plusów, ale również i szereg minusów. Chodzi tu przedewszystkiem o trudności, związane z fluktuacją sił roboczych między poszczególnemi zakładami.

Biorąc rzecz teoretycznie, można pójść jeszcze dalej w procesie decentralizacji, przez usunięcie wspomnianego organu centralnego, który ma za zadanie koordynować działalność ogółu przedsiębiorstw kolektywno-syndykalistycznych. Doszlibyśmy wówczas do tego, co teorja nazywa anarchizmem syndykalistycznym, to znaczy do zbioru nieskoordynowanych przedsiębiorstw syndykalistycznych. Przedsiębiorstwa takie bardzo są już zbliżone do przedsiębiorstw zrzeszenionych w ustroju indywidualistycznym, z pewnemi zmianami, dotyczącemi podmiotu gospodarującego (właścicielami są tu pracownicy). W ten sposób stajemy znowu na pograniczu dwu światów, dwuch ustrojów własności.

Przedstawiony powyżej schemat teoretyczny, obejmujący linję ewolucyjną form przedsiębiorstwa, w ujęciu graficznem tworzy wyraźne koło, podzielone średnicą pionową na dwie części, według przynależności do odrębnych ustrojów własności. Na linji tego koła grupować można wszystkie możliwe formy, których zasadnicze typy staraliśmy się określić. Zbędne jest podkreślanie teoretycznego charakteru naszego schematu, który jest tylko pomocą w myśleniu o rzeczach konkretnych i którego logika jest logiką działania sił wyłącznie ekonomicznych, podczas gdy w życiu decydują wielokrotnie o sprawach ekonomicznych czynniki całkowicie pozagospodarczej natury. Pod tym względem zastanawiający jest fakt, że ustrój kolektywistyczny urzeczywistnia się właśnie w Rosji Sowieckiej, a więc w kraju, który według logiki naszego schematu najmniej był „dojrzały" do przewrotu socjalistycznego. Z drugiej strony nic narazie nie zapowiada również podobnych przeobrażeń w klasycznym kraju trustów, jaki stanowią Stany Zjednoczone.

Na zakończenie niniejszego rozdziału jeszcze jedna uwaga. Mówiąc o przedsiębiorcy, mówiliśmy dotychczas wyłącznie o przedsiębiorcy niesamoistnym, łączącym czynniki produkcji, których sam nie jest w całości właścicielem względnie dysponentem. Nie należy wszakże zapominać i o przedsiębiorcy samoistnym, np. o rzemieślniku lub drobnym rolniku. Rola tego przedsiębiorcy w produkcji jest różna. W rolnictwie

naogół bardzo poważna, w przemyśle i handlu znacznie już mniejsza, ze znacznemi wahaniami, zależnie od charakteru poszczególnych gospodarstw narodowych. Miejsce przedsiębiorstwa samoistnego jest oczywiście tylko w ustroju indywidualistycznym. Zasadniczo typ ten posiada duże znaczenie, a dotychczasowy przebieg kryzysu ustrojowego, jaki przeżywamy obecnie, wskazuje raczej na duże możliwości rozwoju tej formy przedsiębiorczości.

VI

Na linji kolistiej, wyobrażającej ewolucję form przedsiębiorstwa, wyodrębnić można pewien odcinek, nie punkt, ale odcinek, który nazwaliśmy już pograniczem ustroju indywidualistycznego i kolektywistycznego. Pogranicze to jest dosyć szerokie i w jego granicach właśnie cena monopolu warunkowego, charakteryzującego wyższe formy gospodarki indywidualistycznej, przemienia się w cenę monopolu bezwarunkowego, charakteryzującego z kolei gospodarkę kolektywną.

Na odcinku powyższym powinniśmy przedewszystkiem skupić naszą uwagę, a to dlatego, że określa on aktualne położenie szeregu krajów w zakresie struktury gospodarczej, stanowiąc tem samem punkt centralny dyskusyj ustrojowych z naczelnym dylematem: gospodarka wolna czy przymusowa (planowa).

Wspomniany dylemat, ujmujący kwestję kryzysu ustroju od strony jego „fizjologji" (możliwe jest ujęcie i od strony „anatomji", ale mniej przydatne dla konkretnych rozważań), jest niewątpliwie najbardziej istotnym tematem wśród wielkiego zespołu zagadnień. Jemu też m. in. poświęcił swe niezmiernie interesujące wywody prof. R. Rybarski w znakomitej pracy p. t. „Przyszłość gospodarcza świata". Odsyłając przeto czytelnika do tej książki, ograniczymy się w niniejszym artykule do krótkiego przeglądu tych wszystkich czynników, które, stanowiąc wyłom w zasadzie wolności gospodarczej, pchają dzisiejszy ustrój, będący mieszaniną, z reguły niesharmonizowaną, pierwiastków wolnej i planowej gospodarki, w kierunku kolektywizmu. Dadzą się one sprowadzić do czterech zasadniczych kategoryj.

Do kategorji pierwszej zaliczyć należy wszelkie tendencje i fakty, związane z ustawową względnie przymusową kartelizacją oraz z monopolami państwowemi. Każdy monopol bezwarunkowy (prawny), zarówno państwowy jak i prywatny, wprowadza pewien element dysharmonji w dotychczasowy, ustrój zbudowany na zasadzie wolności gospodarczej, pogłębiając w ten sposób nasilenie kryzysu. Ponadto nie należy zapominać, że monopol prawny środków produkcji stanowi jako taki podstawowe założenie ustroju kolektywnego.

Do kategorji drugiej zaliczyć trzeba z kolei przedsiębiorczość państwową, nieusprawiedliwioną specjalnemi zadaniami państwa i konkurującą z przedsiębiorczością prywatną. Wprawdzie nie zajmuje ona stanowiska monopolicznego, aczkolwiek jej położenie jest pod wieloma względami uprzywilejowane, tem nie mniej uszczupla zdecydowanie zakres przedsiębiorczości prywatnej, a charakterem swym przybliża się do kolektywizmu, którego integralna forma wyraża się właśnie w upowszechnieniu przedsiębiorstwa prawno-publicznego.

O ile wymienione powyżej czynniki dotyczą bezpośrednio ustroju produkcji, o tyle do kategorji trzeciej należą znów czynniki, dotyczące rozdziału dochodu społecznego. Chodzi konkretnie o rozmiary gospodarki publicznej w sensie obciążenia podatkowego na rzecz państwa i związków prawno-publicznych. Stopień tego obciążenia wpływa istotnie, aczkolwiek w drodze pośredniej, i na ustrój produkcji. Jeśli obciążenie to przekracza pewne granice, nietylko zmniejsza się wewnętrzna kapitalizacja, ale równocześnie powstaje grunt pod przemiany ustrojowe, przyczem kierunek tych przemian nie budzi oczywiście żadnych niejasności. W świetle tych wstępnych uwag interesującym wyda się fakt, że np. w latach 1913 — 1930[2]) procent ciężarów fiskalnych w ogólnym dochodzie społecznym wzrósł w Niemczech z 8,1% na 23,2%, we Francji z 13,4% na 22%, w Anglji z 11,3% na 24,9%, we Włoszech z 13% na 22,8%. Oczywiście sprawa nie jest wcale prosta, rozwój wydatków państwowych jest, naogół biorąc, bardzo pożądany, gdyż wiąże się z realizacją pożytku społecznego, nie opartego na czysto gospodarczych, egoistycznych w zasadzie założeniach. Tem nie mniej musi być zachowana pewna proporcja między wzrostem ogólnego dochodu społecznego, a wzrostem obciążenia fiskalnego i socjalnego, chyba, że chodzi o świadomą politykę kolektywizacji ustroju. Instrumentem szczególnie skutecznym takiej polityki będzie przedewszystkiem podatek dochodowy i spadkowy. Inna rzecz, że na tej drodze podkopać można łatwo dobrobyt całego gospodarstwa narodowego.

Główna atoli rola w zakresie pewnej kolektywizacji ustroju wydaje się przypadać czynnikom kategorji czwartej, dającej się określić łącznie nazwą: rola państwa w kryzysie. Będąc w genezie swej systemem aktów doraźnej pomocy gospodarczej, związała ona w szeregu krajów, zwłaszcza w tych, w których kredyt został zetatyzowany, państwo z prywatną przedsiębiorczością w sposób całkiem szczególny, czyniąc go nietylko wierzycielem ogromnej części wolnej przedsiębiorczości, ale w dużym stopniu jej wspólnikiem. Biorąc za punkt wyjścia rzeczywistość polską, moglibyśmy zabawić się na chwilę w następującą fantazję gospodarczo-ustrojową: oto rząd, hołdujący koncepcji socjalistycznej, mógłby w najnormalniejszej drodze, przewidzianej przez „burżuazyjne" prawo cywilne, wejść w posiadanie bardzo znacznej części prywatnej produkcji przemysłowej, a także i rolnej, przystępując natychmiast, jeśli chodzi o tę ostatnią dziedzinę, do tworzenia „kołhozów" według ostatniego krzyku bolszewickiej mody.

Analizując wszystkie omówione czynniki, dochodzimy w rezultacie do wniosku, że „dwuznaczność" obecnego porządku gospodarczo-ustrojowego, stojącego pod znakiem ścierania się zasad wolnej i planowej (przymusowej) gospodarki, jest ściśle związana z czynnikiem władzy politycznej, z rolą państwa.

Działalność świadoma lub mimowolna państwa ogranicza naogół konsekwentnie gospodarkę prywatną, zarówno jakościowo jak i ilościowo, rzucając podstawy pod nowy ustrój etatystyczny, cha-

---

[2]) Wzięte z książki prof. R. Rybarskiego „Przyszłość gospodarcza świata" str. 136.

rakterystyczny ustrój pogranicza między indywidualnem a kolektywnem gospodarstwem społecznem. Czyż byłby to ustrój przejściowy?

VII

W ten sposób przedstawiliśmy w najogólniejszych zarysach, aczkolwiek nie całkiem jeszcze kompletnie i z pewnemi „wypadami“ w dziedzinę zagadnień praktycznych, spopularyzowaną jakgdyby teorję ustroju gospodarczego. Określenie teoretycznych jego granic, usystematyzowanie pojęć zasadniczych — stanowi, naszem zdaniem, podstawowy warunek uporządkowanego myślenia o ustrojach konkretnych. Myśl polityczna z natury rzeczy jest myślą subjektywną, zapatrzoną w to, „co być powinno“, winna więc pozostawać w pozytywnym stosunku do myśli objektywnej, formułującej to, „co jest i co być może“ i umożliwiającej realną ocenę rzeczywistości, którą polityka usiłuje przekształcać.

Młode pokolenie narodowe w wysokim stopniu interesuje się sprawami społeczno-gospodarczemi, w szczególności zaś problem ustroju kapitalistycznego stanowi przedmiot żywych dyskusyj. W dyskusjach tych, nacechowanych w dużym stopniu krytycyzmem, na plan pierwszy wysuwa się naogół czynnik emocjonalny. Stąd ewentualny pożytek naszych teoretycznych rozważań, których charakter „wstępny“, w samym tytule staraliśmy się określić.

Uwagi powyższej nie należy oczywiście interpretować, jako chęci osłabienia krytycznego stosunku do dzisiejszego ustroju. Wiemy, że narodowa myśl gospodarcza, stojąc twardo na gruncie prywatnej własności, a także i wolności gospodarczej, wysuwa równocześnie przeciw obecnemu porządkowi szereg poważnych zastrzeżeń, dotyczących zarówno gospodarczych jak i pozagospodarczych jego konsekwencyj. Wiemy, że ustrojem, który urzeczywistni zasadniczą reformę, będzie dopiero narodowy ustrój gospodarczy.

STEFAN LESZCZYŃSKI

CZYŃSKI I LUBLINER

(HUMORESKA EMIGRACYJNA)

PO WYBUCHU powstania listopadowego rząd tymczasowy pozwolił wprawdzie żydom wstępować do wojska i przyrzekał wysłużonym nadanie pełnych praw obywatelskich, ale pod warunkiem, że z praw tych korzystać będą jedynie ci, którzy zdobędą sobie albo odznaczenie za waleczność, albo wysłużą lat dziesięć. Warunek ten był podyktowany zrozumiałą zupełnie ostrożnością. Takie sito, oddzielające ziarno od plewy, miało być poniekąd probierzem patrjotyzmu żydów, zgłaszających się na ochotnika do wojska.

Ilu ich wstąpiło do szeregów — nie jest mi wiadome i wątpię, czy wogóle odpowiednia statystyka istnieje. W. Feldman w „Dziejach polskiej myśli politycznej“ twierdzi, że kilkunastu żydów order wojskowy otrzymało.

Z pośród nich spotykamy w kronikach emigracyjnych najczęściej trzy nazwiska: Hernisza, Horowicza i Ozeasza Lublinera, który jako przyjaciel Lelewela, zaznaczył się wybitniejszą działalnością w Bruksełli i ogłosił kilka pism o żydach w Polsce. Po kapitulacji Warszawy emigrował Lubliner do Francji. Przydzielony do grupy wojskowej w Dijon, uczęszczał na wydział prawny tamtejszego uniwersytetu.

J. Bartkowski, który prowadził raptularz codziennych wydarzeń w grupie diżońskiej, wspomina o nim, że

„wkręcał się rozmaitemi sposobami w znajomość z akademikami francuskimi, przyczepiał się do nich w kawiarniach i stał się im tak natrętny, że go nazywali: „*tire sou*“ i „*pique assiette*“. Za niewłaściwe zachowanie się otrzymał naganę publiczną od przełożonego grupy i musiał złożyć na piśmie przyrzeczenie poprawy“.

Po kilku miesiącach wypływa Lubliner na szersze wody w Paryżu. Pozyskuje sobie przychylność Lelewela, uczestniczy w zebraniach przy ulicy Cordière, jest ruchliwym członkiem lelewelowskiego komitetu narodowego, obradującego w t. zw. „Taranie“. Lubliner podkreśla wszędzie i zawsze, że jest „Polakiem wyznania mojżeszowego“.

Żydów, zapierających się swego wyznania — niecierpi. Przechrztami pogardza. Tę swoją mojżeszowość manifestuje tak głośno i natarczywie, że staje się w Taranie figurą napoły komiczną. Kiwa głową dobrodusznie prezes Lelewel, uśmiechają się ironicznie: Krępowiecki i czerwony hrabia Gurowski, kpi z „Mojżesza“ w żywe oczy rubacha, eksksiądz Puławski. Znosi cierpliwie Lubliner te docinki i w niewinny żart je obraca.

Lecz kiedy pewnego razu zadrwił sobie na ten temat Czyński — Lubliner wpadł w pasję:

— Obywatelu Czyński! Komu, jak komu, ale wam kpić z siebie nie pozwolę! My się jeszcze porachujemy!

I wykrzykując te słowa, wyciągnął rękę i dosadnym, wzgardliwym gestem zakrzywił palec wskazujący, imitując garbaty, rasowy nos Czyńskiego... A Puławski, przypadkowy świadek tej sceny, pokładał się od śmiechu.

I odtąd głucha, tłumiona nienawiść zapanowała między Lublinerem a Czyńskim. Nazewnątrz, wobec szerokiej publiki emigranckiej, zachowywali stosunki poprawne. Co więcej, obaj byli specjalistami od spraw żydowskich. Jeden u „saint-simonistów“, drugi w loży zaprzyjaźnionych masonów — wygłaszali ogniste mowy w obronie uciskanego przez cały świat Izraela.

Minęło kilka tygodni spokojnie. Czyński unikał Lublinera; ten udawał, że Czyńskiego nie widzi. Aż nagle robi się awantura. Czyński dowiaduje się od Marysi Dembińskiej, sekretarki i przyjaciółki Puławskiego, co Lubliner wszędzie o nim rozpowiada.

Więc naprzód — że on, Czyński, żadnych zasług wojskowych nie ma, a sławne jego szefostwo w sztabie jenerała Skrzyneckiego—to jedna wielka blaga. Znudziło się Czyńskiemu patronować przy sądzie lubelskim, więc przywdział samowolnie mundur kapitański, do kapelusza pióro kogucie przyczepił i proklamował się organizatorem wojska w województwie. Na polu walki nigdy nie był i prochu

nigdy nie wąchał. Wobec zasług wojskowych Ozeasza Lublinera, jego trzech ran i krzyża za waleczność — całe szefostwo Czyńskiego było dziecinną zabawką!

Lecz wszystko, co Ozeasz opowiadał o jego karjerze wojskowej, było jeszcze drobiazgiem wobec oszczerstwa, na jakie tylko ostatnia kanalja zdobyć się może; przed Gurowskim nazwał Lubliner Czyńskiego — przechrztą. Tego łajdactwa Czyński mu nigdy nie daruje!

Zawrzało w Taranie. Wprawdzie Lelewel nazwał całą awanturę — burzą w szklance wody i jak mógł i umiał, zacietrzewionych przeciwników mitygował, jednak walka toczyła się dalej z coraz większą zawziętością.

Szanse Ozeasza rosły z dnia na dzień. Etykieta przechrzty przylgnęła tak mocno do Czyńskiego, do jego osoby, do jego działalności politycznej i literackiej, że w żaden sposób nie dała się odlepić. Jego wystąpieniom filosemickim zaczęto podsuwać pobudki rasowe. Przypomniało się to i owo z jego dawnego życia i rewolucyjnej karjery na bruku warszawskim, kiedy odgrywał niepoślednią rolę w „Towarzystwie Patrjotycznem" jako pogromca wodzów i pożeracz arystokratów, kiedy organizował krwawe wypadki sierpniowe. Z pod czerwonej czapki polskiego jakobina przeglądała coraz bardziej jarmułka...

Nawet nad popularną powieścią Czyńskiego o Cesarzewiczu Konstantym i Joannie Grudzińskiej zaciążyło zjadliwe ozeaszowe słówko. Ckliwe, sentymentalne epizody żydowskie, wplecione w osnowę tego utworu, zaczęły zastanawiać czytelników, chociaż autor tuszował ich tendencję — kontrastową, ujemną charakterystyką słynnego szpiega Birnbauma.

W jeszcze jaskrawszem świetle wystąpiły teraz napaści Czyńskiego na Mickiewicza, które zamieścił w przypiskach końcowych tej powieści, zarzucając autorowi „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa", że —

„podnieca nienawiść ku starozakonnym, pastwi się nad godnym lepszego losu Izraelem i powtarza szynkowe przygryzki: „mówią żydzi i cyganie, i ludzie z duszą żydowską i cygańską: tam ojczyzna gdzie dobrze".

„Jestże to autor „Ody do młodości", co do szkalowania trzech miljonów współziomków rywalizuje z ulicznymi polisonami!"

Jeszcze więcej irytował Czyńskiego katolicyzm „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa". Zarzucał Mickiewiczowi, że „pomięszał najwznioślejsze prawdy z najobrzydliwszym przesądem", że ten, który „hołdował prawdzie i sprawiedliwości, modli się teraz do świętych: Stanisława, Kazimierza i Józefata!"

Nie powstrzymał się Czyński od bezczeszczenia Mickiewicza nawet w samym tekście swej powieści, kiedy w usta szpiega Birnbauma, powieszonego 15.VII 1831 r., wkłada pełne ironji słowa:

„Dzięki ci jenialny Mickiewiczu! Tyś mię nauczył patrzeć przez szczeliny świata i bujać ponad natury sferami!"

Po rewelacjach Lublinera i te napaści, przemycane pod pokrywką beletrystyki, przedstawiały się już w innem świetle. A tymczasem niestrudzony Ozeasz zaczął się dobierać do drzewa genealogicznego Czyńskiego — listek po listku, gałązka po gałązce, aż do korzenia... Wtedy Czyński wystąpił z gwałtowną odprawą i zapewnieniem, że on sam jest „katolikiem z babki i dziada i że wyssał katolicyzm z piersi matczynej".

Wielka uciecha była z tej judeomachji, a zwłaszcza z „wyssanego katolicyzmu" w całym Taranie. Śmiał się nawet Lelewel, nie przeczuwając, że niezadługo sam będzie zamieszany w tę awanturę. Zaciekli przeciwnicy, w poszukiwaniu coraz to nowych argumentów polemicznych, zaczęli się powoływać na jego autorytet.

Lubliner przypomniał pierwszy: „Sam nasz prezes powiedział: „nie mam wiary w przechrztów aż do szóstego pokolenia!"

A na to Czyński: Kłamiesz obywatelu! Lelewel powiedział najwyraźniej: „Nie dowierzam żydowi aż do szóstego pokolenia".

I była stąd nowa uciecha na Taranie.

Lecz kto miał rację?

Lelewel po swojemu — wykręcił się sianem, jednak Czyńskiemu doniesiono, że pocichu przyznawał rację Ozeaszowi. Więc w jakiś czas potem z inspiracji Czyńskiego rozeszła się pogłoska, że Lelewel nie jest szczerym demokratą, bo w głębi duszy jest wrogiem Izraela. W sukurs Czyńskiemu pospieszył uczony w piśmie, niejaki Hollaenderski, rozgłaszając, że ród Lelewelów ma w sobie krew żydowską, co czcigodnego prezesa mocno obruszyło i zniechęciło do Czyńskiego, bo domyślał się, że on to był sprawcą intrygi. A kiedy Lelewel imieniem komitetu narodowego wydał odezwę do żydów, wielce dla nich pochlebną, mściwy Czyński nie omieszkał puścić plotki, że jest to ekspiacja za owego żyda „aż do szóstego pokolenia" i osłona przed odkryciami Holleanderskiego.

W rezultacie Lubliner walkę wygrał, odnosząc zwycięstwo, które przekraczało nawet jego intencje. Bo Czyński pozostał już dla jednych przechrztą, a dla innych żydem. Warcholstwem, krzykactwem i arogancją zraził sobie nawet wielu tarańczyków, którzy nie bez satysfakcji odczytywali sobie wierszyk Mickiewicza:

„Wpół jest żydem, wpół Polakiem,
Wpół jakobinem, wpół żakiem,
Wpół cywilnym, wpół żołdakiem,
Lecz zato — całym łajdakiem.

Podejrzewany przez pewien czas o bliższe stosunki z policją paryską, ratował się Czyński w opinji emigracji wojowniczym tonem swych artykułów, w których krytykował rząd francuski. Zamieszczał je w „Postępie" oraz w założonych przez siebie pismach: „Północ" i „Echo miast polskich". Sprzeniewierzywszy znaczniejszą sumę w jednym z banków, uciekł do Londynu, gdzie zmarł w 1867 r.

Jego antagonista Lubliner, osiadłszy przy boku Lelewela w Brukseli, doczekał się pięknego stanowiska, jako adwokat przysięgły przy Trybunale Apelacyjnym. Kiedy Lelewel, przewieziony w ciężkiej chorobie do Paryża, zmarł tamże w 1861 r., jedną z mów żałobnych nad jego mogiłą wygłosił w imieniu żydów rabin paryski. Postarał się o to Lubliner.

Lecz Czyński był pamiętliwy i czujny. W „*Archives Israelites*" zamieścił list, w którym starał się wykazać, że cały filosemityzm Lelewela był mocno podejrzany.

Wtedy Lubliner, oburzony szarpaniem dobrej sławy zmarłego, wystąpił z ostatnim, decydującym ciosem w broszurze p. t.: „Jan Czyński, obmówca Joachima Lelewela, w prawdziwem świetle wystawiony" (1862).

Czyński był położon na obie łopatki i już nie odpowiedział.

PRZEMYSŁAW MĄCZEWSKI

NA WIDOWNI

Cham narodowy i delikatna ideologja. — Młodzi sanatorzy o grozie położenia. — Do społeczeństwa po siłę, a ono właśnie jest chamem. — Wyłudzone pierworództwo.

W ZACIEKŁOŚCI, która charakteryzuje toczącą się w Polsce walkę z polskim żywiołem patrjotycznym, tkwi coś tajemniczego. Dobrodusznego obywatela niepokoi w głębi duszy pytanie: Jakże to może być! Ktokolwiek oni są, to przecież są tam Polacy. Skądże nienawiść w nich do Polaków większa, niż do kogokolwiek obcego?

W sztywnych relacjach politycznych nie można doszukać się motywów głębszych poza formalnemi, więc z ciekawością sięga człowiek do organów prasowych, gdzie wysuwane są idee na użytek polityczny; tam spotkać się można z wynurzeniami *ab imo pectore.*

Tutaj jednak trzeba zrobić zastrzeżenie. Idee nie są źródłem postępowania „sanacji“, nie jest to bowiem prąd umysłowy, tylko grupa działająca dorywczo w widokach praktycznych. Organy zaś „ideologiczne“, w jej posługach zostające, dorabiają pewne uzasadnienie myślowe do faktów, aby dla nich znaleźć poparcie w sferach, sympatycznie na styl danego faktu nastrojonych.

Otóż istnieje taki „Przełom“, rodzaj baru ideowego, gdzie młoda „sanacja“ pokrzepia swoją energję umysłową. Jest tam między innemi kranik do ożywczego napoju z napisem „Leinwandhaendler“. W ostatnim zeszycie tego miesięcznika (nr. 3 z 31 marca r. b.) znajdujemy artykuł rzeczonego autora p. t. „Zapada noc“. Żeby uczynić tytuł wymowniejszym, autor dodał dla czytelnika polskiego: *„Es kommt die Nacht der langen Messer“.*

Na Polskę padł cień Wielkiego Chama. Stąd noc! Kroczy Wielki Cham. Ma on już trzy głowy: faszyzm w Italji, hitleryzm w Niemczech, O.W.P. — w Polsce. „Ci i tamci ostrzą topór reakcji na zdobycze moralne Wielkiej Rewolucji“. W Niemczech niema już policji, niema prokuratora i niema sądu. „Cham wydał jeden wyrok dla wszystkich: zabijać marxizm, zabijać demokrację, zabijać Weimar“. „Ofiarą pada także człowiek cichej pracy gabinetowej, jakiś socjalistyczny adwokat, marzyciel pacyfizmu... No i żyd...“

„Antysemityzm jest niezawodnym sojusznikiem hitleryzmu i O.W.P.“ „Co w tej chwili w Polsce można przeciwstawić faszyzmowi, przedewszystkiem temu z Obozu Wielkiej Polski?“ — pyta autor. I tu ogarnia go rozpacz, bo widzi, że przeciwstawić można: „zaledwie policję!“ To nie wystarcza.

„Odsądzenie Hitlera lub O.W.P... od czci i wiary nie jest rzeczą łatwą, ani małą. Położyć ten ruch post-faszystowski na obie łopatki — to nie znaczy położyć go w dyskusji filozoficznej czy politycznej; faszyzm — organizację rózeg i toporów (-(no i mieczów Chrobrego)-) położyć można tylko siłą. Przeciw faszyzmowi, a zwłasza jego odmianie hitlerystycznej, nie prawda, ale siła zwycięża. Do jaskiniowców nie sposób przemawiać ludzkim językiem“.

Policja nie wydoła. Należałoby organizować przeciw Obozowi W.P. całe społeczeństwo. „Niebezpieczeństwo rośnie z dnia na dzień. Noc zbliża się i r y t u j ą c o (!) szybko. Przeciwwagi niema...“

Trzeba przyznać, że jest w tym okrzyku akcent tragiczny: wytworny demokrata, wyznawca ideałów Wielkiej Rewolucji, sympatyk marksizmu, marzyciel pacyfizmu ginie z ręki Chama! I za co? Za to, że go chciał uszlachetnić, odbierając mu podstawy bytu narodowego! Daremnie rozgląda się marzyciel za siłą, któraby położyła ideę narodową na obie łopatki. Zaledwie policja!

Obóz W.P. — skarży się p. L. — „pochłania z dnia na dzień coraz to większe połacie m ł o d e g o l a s u, jest jedyną dziś w kraju poważnie zorganizowaną siłą społeczną“.

Ten polski Cham, „ideologicznie budujący na przesłankach nacjonalizmu włoskiego i niemieckiego (-(?)-), pełen najcieplejszych manifestacyj podziwu dla przewrotu w Niemczech, zasobny inteligencją, śmiało wygląda na ulicę. On jeden nie boi się wystąpień zbiorowych, ostrych zatargów z policją, łamania nakazów i zakazów... Widać — stać go na to. Ma duże, mocne, szerokie w zasięgu i wysokie napięciem sympatje znacznej części opinji. Cóż, że ta opinja wije gniazdo w masach możliwie bezkrytycznych! Siła jest siłą, i w rzeczywistym rachunku niewielką rolę odgrywa fakt, że O.W.P. buduje na drobnomieszczaństwie, żywiole, jak wiadomo, nie imponującym polotem myśli i uczuć. Zresztą, patrząc bez okularów, błędem byłoby nie dostrzec w polskim ruchu „faszystowskim“ elementu nic wspólnego z drobnomieszczaństwem nie mającego: toż w O.W.P. pracują czynnie i, powiedzmy, ofiarnie — kolejarze, robotnicy z prawicowych związków zawodowych, młodzież rzemieślnicza, często-gęsto włościańska, że nie powtórzymy nazbyt dobrze znanej prawdy o młodzieży szkół wyższych“.

Ale właśnie tem większa trwoga, im później człowiek zdaje sobie sprawę z istotnego położenia rzeczy.

Autor tej elegji nie jest nawet pewien, czy można liczyć na odpór ze strony obozu rządowego BB. Czy można ufać takiemu „Zespołowi stu“, albo Legjonowi Młodych, czy nie są też one zarażone faszyzmem? Najszerszy ogół społeczeństwa nie ma ochoty walczyć z faszyzmem. Wniosek: przebudować trzeba całe społeczeństwo. Nie można tej sprawy pozostawić wyłącznie „kompetencji pp. starostów i komendantów posterunków (policyjnych)“.

Pan Leinwandhaendler, żeby sobie dodać otuchy, wynajduje w polskim ruchu narodowym parę punktów słabych. Jednym z nich jest jakoby okoliczność, że „niewielu liczy w swoich szeregach byłych kombatantów...“ A gdzie oni się podzieli? — pytamy. Wycofali się z życia społecznego, przeszli do „sanacji“? Przebiegamy myślą posterunki O.W.P.— wszyscy walczyli. Oczywiście młodzi, którzy w czasie wojny byli dziećmi, nie mogą być „byłymi“, ale są aktualnymi „kombatantami“. Jednocześnie z O.W.P. rozwiązano Związek Hallerczyków. Czyż i oni o sobie mówią: „Nas tam nigdy nie było!“ Komiczny jest przy swej tragiczności p. L., gdy prawi o ludziach z obozu Narodowego, że trzymają się bliżej — „posad i koncesyj“. Czy widział lub słyszał, żeby ludzie z tego obozu przechwalali się swem „kombatanctwem“, lub kazali Ojczyźnie za nie sobie płacić? By — miast osobistej zasługi — dyktowali historji tytuły do swej chwały jedynie na zasadzie przynależności do jakiejś brygady? I zresztą nie trzyma się to kupy. Bo jeżeli polski ruch narodowy jest tak silny i atrakcyjny, jak to autor przyznaje, to chyba ludzie, którzy go wytwarzają, mają jakąś wartość moralną.

Inna satysfakcja, którą sobie zapóźniony obrońca ideałów Wielkiej Rewolucji wymierzył, daje się tłumaczyć chyba tylko liczeniem na ignorancję kół

sanacyjnych, na nieznajomość dziejów własnego społeczeństwa. Według niego ruch narodowy w Polsce nie jest zjawiskiem samorodnem. „Nacjonalizm polski czerpie potężną pożywkę u źródeł nacjonalistycznych europejskich, przyczem, geograficznie biorąc, nie tyle w Rzymie, ile w Berlinie. Przyzna to każdy endek. Zwycięstwo hitlerowców w Niemczech jest silnym bodźcem dla O.W.P. w Polsce“...

Tak to wygląda, jakby O.W.P. zaczął działać przed paru tygodniami, po zwycięstwie Hitlera. Dziwna jest manja tych ludzi ze szkoły masońsko-marowskiej, że nie tylko nic dobrego, ale nawet tego, co za złe uważają, nie przypiszą Polsce, aby tylko nie robić reklamy jej oryginalności lub samodzielności w czemkolwiek. Ciekawa rzecz, czem tłumaczą sobie powstanie wszechpolskiego ruchu narodowego przed 40 laty, czem oparcie tego ruchu na instynktach ludu, jak nie uzasadnieniem patrjotyzmu myślą nacjonalistyczną? Oto teraz wyszła ponownie książka R. Dmowskiego z przed lat 30: „Myśli nowoczesnego Polaka“. Jest zamiar także wydania rozprawy Z. Balickiego „Egoizm narodowy“. Jeszcze — jak mówią chłopi — muchy nie goniły się na Mussoliniego i Hitlera, kiedy w Polsce już istniały zarody O.W.P. Kto p. L-a uczył „wpływologji“, niech mu zwróci honorarjum. Ruch nasz nie zawdzięcza nic ani Hitlerowi, ani Włochom, ani nawet nacjonalizmowi francuskiemu. Przyzna to każdy endek odnośnych krajów. Można odmówić Polsce porozbiorowej pierwszeństwa we współczesnym wyścigu narodów na polu cywilizacji materjalnej, ale odmówić jej tego odkrycia, jakiem było uświadomienie Ducha Narodu i użytek uczyniony z niego w pojmowaniu dawnych i dalszych dziejów, — tego odmówić może tylko fałszerz historji i do tego tępy. Legitymując się rodowodem żydowskim z Marxa, sięgając w przeszłość ideową najdalej Rewolucji Francuskiej, uważa się za dziedzica polskiej schedy historycznej i pana jej przyszłości.

Naród przez to, że się odradza, psuje szyki jego planom: on przecież zrósł się z myślą, że podstawy rozwoju narodowego będą raz na zawsze zniszczone, że pokolenia nowe zapomną o przeszłości narodu, odrywając się wreszcie od życia instynktów historycznych, że Polska będzie pustką ideową, na której hodować się będą swobodnie bakcyle zarazy na cały świat... Przywykł tak marzyć, tak się już urządził duchowo, jakby wszyscy wokół byli sroce z pod ogona, a tymczasem wynurza się z dziejów jakiś Cham i upomina się o prawa swoje do ziemi i cywilizacji!

„Jaskiniowiec!“ — pan mówi. Pan bardzo nie łaskaw na Mazury, panie Leinwandhaendler! Każdy żydek w miasteczku, gdy chłop wyjdzie ze sklepu, mówi o nim nie inaczej, tylko: „cham“. Dla pana cały naród, który się budzi do pełni świadomości, jest cham. Dyskutować z nim nie warto, bo to jaskiniowiec, położyć go zaś można na obie łopatki, tylko siłą. Niech pan spróbuje... Pan ma żal do swych towarzyszy z Zespołu Stu czy z Legjonu Młodych, że się wahają, że mają skrupuły. Bo to, widzi pan, prawo krwi, że ona rozpoznaje w oczach chama swoje synostwo.

Każdy naród ma taką postać, na jaką go stać. Niema chyba narodu wrośniętego w ziemię, ktoryby tak delikatny był, wytworny i romantyczny, jak międzynaród, który żyje tylko szczytnemi hasłami: wolności, równości i braterstwa... A jednak on to naraził się właśnie temi hasłami. Narody mają już dość tej wolności, tej równości i tego braterstwa!

Każda istność narodowa jest mniej lub więcej zgrzebna i wydaje się delikatnym kombinatorom chamską. Ale co do Polski, poglądy ich na chamstwo dążeń narodowych są niesprawiedliwe. Żaden bodaj naród nie wkłada tyle jedwabiu w swe roboty, co Polska; najprzedniejsza inteligencja zawsze szła i idzie w pierwszych szeregach, a lud polski, który za nią idzie, jest — jak nigdzie — arystokratyczny. Od tego „chama“ dzisiaj pan L—r, w imieniu zagrożonego rzekomo „człowieka“, odwołuje się do społeczeństwa i woła do towarzyszy sanacyjnych: „Organizujcie społeczeństwo!“. Zapóźno. Ono już jest zorganizowane d u c h o w o (a to najwierniejsza organizacja), ale to jest właśnie ów „cham“, nie mający łaski w oczach masonerji.

Naród jest przez delikatnych kombinatorów nielubiany dlatego, że—pomimo wszystko—nie można od niego wyłudzić pierworództwa za byle miseczkę soczewicy. Naród nie jest jednostką prawną, zdolną do tranzakcyj; jest to postać życia, mającego swe źródła w instynktach życia, które prędzej, czy później o swoje miejsce się upomni.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

CZY ROBI SIĘ WSZYSTKO, CO MOŻNA I NALEŻY, w celu zażegnania niebezpieczeństwa, mogącego grozić Polsce w razie dojścia do skutku „paktu czterech państw“? We środę, dnia 5 b. m., gabinet francuski obradować miał nad oficjalną odpowiedzią na propozycje włosko-angielskie w tym przedmiocie. Jak wiadomo, nawet wejście Francji do projektowanego porozumienia nie oznaczałoby jeszcze odstąpienia od dotychczasowej polityki przymierzy z szeregiem państw środkowoeuropejskich. „Porozumienie czterech“ w każdym razie nie ustaliłoby wyraźnie dla składających je mocarstw polityki; mogłaby doń wejść zarówno Francja niezdecydowana, jak przychylna rewizji traktatów, jak wreszcie oporna. W każdym razie „porozumienie“ to oznaczałoby nowy środek oddziaływania na Francję w sensie skłonienia jej do porzucenia sojuszników na wschodzie i wyrzeczenia się ambarasownej polityki tych przymierzy. Można być pewnym, że wiązanie się z państwami, skądinąd bardzo niesympatycznemi, odległemi kulturą, odstręczającemi dzikością obyczajów politycznych, uprymitywniających w oczach Francuza życie Europy, nie jest dla Francji przyjemne; i że najchętniej wyplątałaby się z sieci sojuszów z takimi „obrońcami cywilizacji zachodniej na wschodzie“, gdyby tylko mogła znaleźć inną gwarancję własnego bezpieczeństwa. Wyjaśnialiśmy już na tem miejscu, że przy najgorliwszem rozglądaniu się za czemś innem, nic innego Francji nie pozostaje, jak umacniać dotychczasowy system; niczem innem bowiem Francja zastąpić go nie może. Na tem oparliśmy mniemanie, że żadne układy ani machinacje międzynarodowe nie mogą ostatecznie zmusić Francji do przekreślenia jej dotychczasowego systemu polityki zagranicznej, w którym tkwi gwarancja bezpieczeństwa francuskiego — i naszego.

JEŚLI JEDNAK CHODZI O KOMBINACJĘ DORAŹNĄ, jak projektowany „pakt czterech", to nie brak w polityce francuskiej objawów niezdecydowania. Według doniesienia korespondenta „*Observer*", premjer Daladier np. zajmuje w stosunku do projektu stanowisko mniej przychylne od Paul-Boncoura—„uważa się, że skłonniejszy jest od swego ministra spraw zagranicznych do stanowczego opowiedzenia się po stronie Małej Ententy i Polski przeciw rewizji traktatów". „Do osobistości natomiast najsilniej wpływających na rzecz przyjęcia projektu należy z całą pewnością ambasador francuski w Rzymie, de Jouvenel". „Gazeta Polska" poświęciła polemiczny artykuł uspokajającym wyjaśnieniom ostatniego, że pakt „nie zmierzałby do stanowienia o losach żadnego narodu bez jego zgody. Nie może być mowy o żadnym dyrektorjacie czterech państw, narzucającym swoją wolę światu". Półurzędówka wskazuje, że dyrektorjat, jeśli wogóle miałby coś znaczyć, musiałby pozbawić swobody ruchów jednego ze swych członków (Francję), a w stosunku do państw mniejszych uprawiać interwencję, przymus, i zastosować ograniczenia prawne... Artykuł powyższy stanowi prawdopodobnie wyraz poglądów kół dziś „miarodajnych" i jednocześnie przykład jałowej zupełnie w dzisiejszem położeniu polemiki. Wszelkie formalne repliki, demonstracje i poczynania na nic się tu nie zdadzą. Że koła „decydujące" pochopne są jednak do tego rodzaju gestów politycznych, dowodzi manifestacyjna rezygnacja ambasadora polskiego w Rzymie (przed objęciem stanowiska), która na Zachodzie żadnego oddźwięku ani wrażenia nie wywołała i była przykładem chybionego zupełnie posunięcia politycznego. Żadne formalne przekomarzania ani kroki manifestacyjne w obecnej sytuacji międzynarodowej nie mają sensu. I byłoby prawdziwem niebezpieczeństwem dla Polski, gdyby w przełomowych dzisiejszych czasach polityka polska umiała się zdobyć nazewnątrz tylko na oświadczenia w stylu artykułów „Gazety Polskiej", a wewnątrz kraju tylko na manifestowanie gotowości obrony przez organizowanie „świąt morza". Być może, że wkrótce społeczeństwo będzie zapraszane do wzięcia udziału w „gigantycznych" manifestacjach w tym rodzaju. Lecz trzeba wejść na inną drogę. Narzuca się konieczność zacieśnienia węzłów porozumienia z Małą Ententе'ą, i z tego względu projektowana podróż polskiego ministra spraw zagranicznych do Pragi i Belgradu wydaje się zamierzeniem pożytecznem. Natomiast dalsze umocnienie stosunku sojuszniczego polsko-francuskiego możliwe byłoby tylko w razie, gdyby Polska niespodziewanie w obliczu niebezpieczeństwa umiała rozwinąć siłę, której świat po niej nawet przestał się spodziewać, gdyby skutecznie potrafiła uporządkować swoje stosunki wewnętrzne i znaleźć wyjście z dotychczasowego chaosu. Tylko taka manifestacja nie byłaby czcza, tylko taka mogłaby być płodna w cenne skutki polityczne.

BYLIŚMY (z oddali) świadkami jednego z najciekawszych zjawisk w świecie powojennym: walki wielkiego mocarstwa z żydostwem krajowem i międzynarodowem. Walka to była wprawdzie na małą skalę. Urzędowo zorganizowany bojkot żydów w Niemczech trwał jeden dzień zaledwie, poczem został odwołany. Nieśmiałość i ostrożność, z jaką rząd Hitlera poczynał sobie wobec żydów, nie podejmując przez jakiś czas żadnych prawie oficjalnych kroków ku odżydzeniu kraju, lecz pozostawiając akcję „antysemicką" bezładnym i dorywczym poczynaniom grup społecznych, nie zdała się na wiele. Żydostwo międzynarodowe zaczęło dość energicznie naciskać na Niemcy środkami sobie dostępnemi, co zmusiło rząd Hitlera do ostrożnego odwetu, i wezwania społeczeństwa do obywania się bez usług żydów przez dzień jeden. Przełamano w ten sposób jedno wielkie „tabu" międzynarodowe: oto rząd narodowy z urzędu zajął się (tytułem próby) sprawą unieszkodliwienia wpływów żydowskich w narodzie. Przedtem ze zdumieniem czytaliśmy przeznaczone dla zagranicy komunikaty rządu niemieckiego, że nikt w Niemczech w czasie rewolucji narodowej nie ucierpiał dlatego właśnie, że jest żydem... Być może, iż właśnie dlatego, że rząd niemiecki nie odrazu wkroczył na drogę prawnego regulowania kwestji żydowskiej, samopomoc ludności przybierała czasem formę niewłaściwych i barbarzyńskich ekscesów. Nie o to jednak chodzi. Przełamanie „tabu", że urzędowo żyda nie można odróżnić od wszelkiego innego obywatela, ma dużą wagę dla cywilizacji europejskiej. Bardzo możliwe jest, że na jednodniowej manifestacji nie skończy się rola rządu we wpływaniu na uregulowanie sprawy żydowskiej w Niemczech. Wprawdzie, jeśli wierzyć telegramom PAT-a, krótkotrwałość bojkotu tłumaczyć należy obawą przed represaljami żydostwa międzynarodowego. „Kierownik Komitetu bojkotu żydów w Niemczech oświadczył, iż ma wrażenie, że narodowi socjaliści nie będą kontynuowali w środę (t. j. w drugim terminie) dalszej walki... Przez bojkot uświadomił sobie międzynarodową łączność żydostwa. Gdyby bojkot trzeba było prowadzić dłużej, to wówczas nastąpiłyby, z uwagi właśnie na to, nieobliczalne następstwa gospodarcze". Wypada więc narazie zaniechać bojkotu, w myśl instrukcji urzędowej. „Może się to wydać wysoce godnem pożałowania, mimo to jednak dyscyplina musi być utrzymana. Niełatwo było uczynić to ustępstwo, ale Adolf Hitler może przeprowadzić swój plan tylko stopniowo. Niemcy poznały, że zasadniczym (chyba głównym!—polszczyzna PAT-a!) ich wrogiem są żydzi, nadejdą znów czasy, kiedy prawo zabroni małżeństw mieszanych między ludnością żydowską i niemiecką". Jak widzimy, daleko jeszcze w Niemczech do wprowadzenia w życie pilnych reform w tej dziedzinie; ale to pewne także, że niema łaty tak żółtej, którejby żydzi nie nosili, jeśli nakaz państwowy będzie w tej mierze stanowczy. Czy zaś ruch narodowy zdobędzie się na tak energiczny wyraz woli i zaczęte dzieło potrafi doprowadzić do końca? Do „rozwiązywania" kwestji żydowskiej potrzeba nietylko dobrej woli, lecz i wiele wyobraźni i umiejętności; pokaże się dopiero, czy kierownicy Niemiec rozporządzają temi atutami. Lecz o jednem pamiętać należy: ruch ten nie doszedł do władzy pod hasłami nowej polityki zagranicznej. Dawne rządy nie mniej miały wyrazów potępienia dla traktatu wersalskiego od Hitlera; Hitler zaś nie mniej od nich (jak dotąd) jest w polityce zagranicznej ostrożny. Ruch, co wyniósł Hitlera, przedewszystkiem był instynktownym ruchem odrodzenia narodowego nawewnątrz: próbą ocalenia aryjskiego, północnego, europejskiego społeczeństwa przed siłami rozkładu. Z tem dążeniem hitleryzmu łatwo Polakowi sympatyzować. Swastyka jest znakiem ogólno-aryj-

skim, tyleż polskim, co niemieckim... Trudno przypuszczać, aby kierownicy polityki niemieckiej, rekrutujący się z tego ruchu narodowego, zapomnieć mieli z chwilą objęcia władzy o zadaniach, które przedtem uważali za tak ważne, i nie włożyć dostatecznego wysiłku w dzieło odżydzenia niemieckiej ojczyzny.

WYSOCE ZAJMUJĄCĄ JEST RZECZĄ — w okresie rozpoczynającego się niewątpliwie zmierzchu Izraela, choćby nawet niektórzy z nas uważać go mieli za jeden tylko z etapów wielkiej dziejowej tragedji — obserwować zachowanie się prasy, notorycznie związanej z żydostwem.

Dwa przykłady: Sędziwy, ale w ostatnich czasach nieco płochy „Tygodnik ilustrowany”, w numerze swoim z 12 marca r. b. zamieścił podwójne *frontispicium*, podpisane jak następuje:

„Wróg i obrońca parlamentu niemieckiego: Komunista Lübbe (z prawej), który zniszczył gmach Reichstagu, choć z miny bynajmniej nie wygląda na groźnego podpalacza; hitlerowski minister Goering (z lewej), którego krzepka postawa i pokaźna tusza dają rękojmię, że idea parlamentaryzmu nie dozna uszczerbku, szczególnie parlamentaryzmu, opartego na wyborczem zwycięstwie Hitlera“.

Tak to organ p. p. Gebethnerów i Wolffów załatwił się — chwytem ironiczno-talmudycznym — z epokowym, bądź co bądź, faktem hitlerowskiego zwycięstwa. Pytanie tylko, czy wypada organowi sanacyjnemu, który z pewnością nie dojrzał był w oku „sanacji“ Purzyckiego, tropić za Lübbem w oku „Enesdapy“. Pytanie także, czy będąc organem sanacyjnym, wypada tak kabalistycznie kpić sobie z pogromców parlamentaryzmu.

Patrjotyczny znowu „Czas“, zatrwożony niebezpieczeństwem dla naszych granic, krytykuje stanowisko „Wiadomości literackich“ (chwalonych dotąd przez siebie na wszystkie tony) w sprawie ukraińskiej. Cóż! kiedy „Młodoturek“ z ulicy św. Tomasza, a z pod znaku p.p. Czachowskich, Grzybowskich, Lisiewiczów, Czapskich i Pruszyńskich, zdobywa się na tak zdumiewającą „haryngę“ w organie Szujskiego, Popiela i Tarnowskiego:

„Jak długo — można powiedzieć — chodziło o przeciwstawienie się „Wiadomościom literackim“ odnośnie propagowanych przez nie idej społecznych, tak długo akcja taka toczyć się mogła spokojnym tonem zwykłych przygotowań“.

Otóż — zdaniem naszem — właśnie: „nie można powiedzieć“ i „toczyć się nie mogła“.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Twardost“ Sieroszewskiego mógł doprawdy, jako dzieło nieudane, zniechęcić pisarzy polskich do podejmowania motywów podania o Twardowskim, podania zresztą tak już wyzyskanego wszechstronnie w literaturze (Mickiewicz, Szujski, Rydel, Staff, Wołoszynowski i tylu, tylu innych) i tak różnie interpretowanego przez mniej lub więcej powołanych badaczy folkloru; wszak niedawno jeszcze pojawiły się na ten temat trzy zgoła niefortunne, fantastyczne rozprawy (Czubryńskiego, Zubrzyckiego i Szczepkowskiego). Wszystko to jednak nieodstraszyło Mieczysława Smolarskiego, autora tylu nietylko cenionych prac naukowych, ale i poczytnych powieści. Nietylko podjął się napisania powieści o Twardowskim, ale co więcej, pokusił się o to, by z tematu tak spowszedniałego wykrzesać nowe pierwiastki, ba, cały temat ująć w sposób nowy i oryginalny.

„Przygoda jednej nocy“, bo taki tytuł ma ta powieść (nakł. Książnicy Społeczno-samorządowej w Warszawie), jest w pomyśle niezależna od żadnego z dawniejszych autorów, zajmujących się Twardowskim, w szczegółach zaś i w ogólnym tonie łączy się może tylko z Mickiewiczem — i to nietylko ze znaną balladą, ale i z pomysłami, opowiadanemi przez Mickiewicza Odyńcowi w Weimarze. W myśl wysuniętych tam postulatów i w myśl istotnej tradycji szlacheckiej czy ludowej (choć nie ludowe mającej pochodzenie) Twardowski pojęty jest humorystycznie. Jowialny ten szlachcic, co facecjami swemi djabła w kozi róg umiał zapędzić, sieje gęsto dowcipem i w powieści Smolarskiego; czytelnik więc nieraz się tu uśmiechnie, szczerze i poprostu — tak jak szczere, niewymuszone i proste są te koncepty, w staropolskim języku foremnie (bez przesadnej stylizacji) wypowiedziane. Ale humor nie w samych powiedzeniach się zawiera; częściej stwarza go sytuacja, splot zdarzeń powieściowych. Podtytuł „Przygody“ brzmi: „powieść współczesna“. Aczkolwiek bowiem sam Twardowski utrzymany jest w stylu kontuszowym, a, co ważniejsza, posługuje się wciąż pojęciami i kategorjami myślowemi wieku XVI, jednakże akcja powieści odbywa się w wieku XX-ym, mówiąc ściślej: w powojennej Warszawie. Jak to możliwe? Ot, całkiem poprostu. Twardowskiemu sprzykrzyło się patrzeć ze srebrnego globu na dawną swą ojczyznę, w której tyle ciekawych zaszło przemian, więc pewnego pięknego poranku — a raczej pewnej pięknej nocy — spadł z księżyca, jakby zadość czyniąc powszechnie znanemu przysłowiu. Trafił najpierw na dziennikarza, z którym najbliżej się zaprzyjaźnił, potem zaś poznawał kolejno różne osobistości warszawskie ze sfer wszelakich, włączając w to i „królowę Warszawy“, z którą miał pewną przygodę pachołek Twardowskiego, Fafuła, wkrótce po swoim panu również spadły z księżyca.

Bytność księżycowych gości na ziemi wywołuje przeróżne komplikacje, zwłaszcza że pan Twardowski jest nietylko szlachcicem o bystrym dowcipie i rozumie, ale i czarnoksiężnikiem, czyli, jak go zowie Smolarski, okultystą (okultyzm staropolski, to temat snać ulubiony autorowi „Poszukiwacza złota“, poczytnej powieści, wydanej parę lat temu uśw. Wojciecha). Przez pamięć dawnego — ponoć niedotrzymanego — paktu mają djabły, z Rokickim na czele, owego czarnoksiężnika wciąż na oku, bróżdżą mu nieraz w jego poczynaniach, intrygują, zastawiają nań sidła, on jednak z tych opresyj umie się wywinąć, a nawet korzyść dla siebie z nich wyciągnąć. Okultystyka Twardowskiego znajduje rezonans wśród nowoczosnych okultystów różnego autoramentu; szczególną uwagę poświęcił autor drugiej obok Twardowskiego osobie powieści, astrologowi prof. Stawiarskiemu.

Powieść więc ma niejako kilka założeń: obok celów satyrycznych przyświecały autorowi pewne idee filozoficzne, naogół dalekie od tak upowszechnionego w literackich wersjach podania o Twardowskim — faustyzmu; jest więc Smolarski i tu samodzielny, jednakże cele swe — zwłaszcza w drugiej części utworu — czasem trochę niejasno wyraził, może wskutek nadmiaru szczegółów fabulistycznych. Szkoda, że djablik drukarski — może z namowy Rokickiego — nie pożałował omyłek zecerskich, np. gdy na str. 54 Twardowski „zanużył duszę w czarnem morzu troski“. Chyba jest tu mowa o zanurzaniu, a nie o — nużeniu? (J. B.)

*

T. zw. romans kryminalny smutną naogół ma sławę — i nie bez kozery, skoro *gros* tego literackiego gatunku stanowią liche ramoty, przeznaczone na lekturę dla gawiedzi o niewyrobionym smaku, a często służące poprostu za podręcznik przestępcom... U nas, niestety, istnieją całe przedsiębiorstwa prasowe czy księgarskie, dostarczające masowo takiego właśnie towaru, prowenjencji głównie żydowskiej i niemieckiej. Ponieważ klin klinem najłatwiej się wybija, przeto w walce z tego rodzaju zaraźliwą plagą pożądana jest antytoksyna w postaci literatury, „detektewistycznej“ wprawdzie, ale wartościowej pod względem zarówno estetycznym jak moralnym. Dwie firmy wydawnicze dobry dały początek W „Żółtej bibljotece“ poznańskiego Wydawnictwa Polskiego ukazały się „klasyczne“ dzieła beletrystyki detektywistycznej: Poego „Rue Morgue“ i Conan Doyle'a „Pies z Baskerville'u“, obok nich zaś wyborne „Przygody komendanta Wilczka“ Jerzego Bandrowskiego oraz ciekawe nieraz w pomysłach powieści A. Błażejowskiego i M. Jarosławskiego. Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu dała już parę lat temu — w doskonałym przekładzie, jakich zazwyczaj pisarzowi temu u nas brakło — kapitalne nowele Chestertona „Niedowiarstwo księdza Browna“, najlepszy może z cyklów o tym z cicha-pęk „detektywie w sutannie“. Śladami Chestertona (który wszak napisał „Obronę romansu kryminalnego“!) idzie pokrewny mu z wielu względów katolicki pisarz angielski R. A. Knox. Jego „opowiastkę detektywistyczną“ p. t. „*Three taps*“ przełożyła znana już z wielu dobrych tłumaczeń (np. „Ulabelli“ Mariki Stjernstedt) Anna Szottowa; w przekładzie polskim tytuł dosłowny „Trzy kurki“ byłby niejasny, więc

zastąpiono go swobodniejszym „Czyja ręka?“ Intrygującym węzłem powieści jest tajemnicza śmierć bogacza Motrama, co do której rodzą się różne przypuszczenia; między komisarzem policji a detektywem prywatnym staje zakład o to, czy był tu wypadek morderstwa czy samobójstwa. Akcja się wciąż plącze zagadkowo, aż tajemnica wychodzi na jaw dzięki przypadkowi — dzięki (o ironjo!) niezręczności detektywa, który w chwili krytycznej zabawiał się... pasjansem. Po nitce do kłębka dochodzi się do wniosku, że wiane było... ułożenie kurków gazowych. Czytelnik musi w czasie lektury rozwiązywać czasem takie matematyczne łamigłówki, jakie są w uroczej „Lilavati“ Jeleńskiego... (J. B.).

*

Zbiór humorystycznych wierszy Expertusa Robertusa „Z księgi gołych“ opiewa zawiłość i rozrost przepisów podatkowych, sprowadzających na podatnika udrękę i ruinę. Pod pseudonimem Expertusa Robertusa ukrywa się znany poeta, działacz narodowy i z zawodu prawnik, który przed laty lutnię poety na kodeks i procedurę sądową zamienił. W chwilach wolnych od pracy zawodowej notował sobie uwagi na temat nacisku śruby podatkowej w rozmaitych jej przejawach, a obecnie uwagi te wypowiedział wierszem w formie ironicznej, bajek, hymnów, sonetów i ballad. Autor współczuje doli rolnika, fabrykanta i kupca, ale z wiarą w lepszą przyszłość stara się ich pocieszyć swymi niefrasobliwemi wierszykami. Doskonała polszczyzna i staropolski dowcip zalecają tę książkę do czytania. (A. W.)

TEATR

T. LETNI: „ACH TA GOTÓWKA“...

Po fałszywie odegranej sztuczce p. Winawera, w której figury żydowskie, wbrew oczywistym intencjom inteligentnego autora, wyjałowione zostały najniepotrzebniej z wszelkich niezbędnych cech semickich — Teatr Letni zagrał importowaną z Wiednia krotochwilę Camelrohra i Ebermayera p. t. „Ach ta gotówka“, w której paru aktorom poprzyczepiano manifestacyjnie nosy przesadnie garbate — godne „Icka zapieczętowanego“, lub arendarza z jasełek.

Bez tego przejaskrawienia charakteryzacji, która pociągnęła za sobą przeszarżowanie gry pp. Hnydzińskiego i Janusza — krotochwila mogłaby się doskonale obyć. Jest w niej bowiem dostateczna ilość dowcipu, żeby ją grać w stylu komedjowym, nie przeładowując widowiska efektami farsowemi, stępiającemi stanowczo ostrze satyry obyczajowej, o którą niewątpliwie autorom chodziło.

Nie garbate nosy powinny być rzeczą najbardziej ośmieszoną w tem widowisku, lecz garbata psychika żydowskich i zżydziałych szwindlarzy, w których środowisku akcja komedyjki pp. Camelrohra i Ebermayera się rozgrywa.

Autorowie wprowadzają nas do podmiejskiej willi bogatego niegdyś geszefciarza, którego posażna doniedawna jedynaczka nie jest w stanie zapłacić rachunku za elektryczność z powodu chwilowego — jak twierdzi — braku gotówki. Kontroler elektrowni poleca przystojnemu monterowi, którego z sobą przyprowadził—zamknąć prąd. Między wytworną panną a sympatycznym przedstawicielem wiedeńskiego proletarjatu zawiązuje się przyjacielska pogawędka. Robotnik szlachetnie współczuje ładnej burżujce i chętnieby jej oszczędził jakiejkolwiek przykrości, gdyby nie twardy obowiązek. Cóż począć? Sympatja sympatją — a prąd zamknąć trzeba.

Scena ta napisana jest bardzo dobrze. Nie pogardziłby nią żaden komedjopisarz. Tchnie ona prawdą życiową i budzi żywy oddźwięk na widowni. Cała publiczność od chwili ukazania się na scenie kontrolera elektrowni objawia zainteresowanie się sztuką. Pani Lubieńska i pan Wesołowski otrzymują pierwsze salwy oklasków.

Monter, sięgając do torby po narzędzia, znajduje w niej siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Podrzucił mu je widocznie jakiś złodziej. Uczciwy młodzieniec postanawia zanieść bezzwłocznie znalezione pieniądze na policję. Należy mu się dziesięć procent znaleźnego. Siedem tysięcy dolarów, to dla niego prawdziwa fortuna. Będzie mógł rzucić posadę w elektrowni i otworzyć własny zakład instalacyj elektrycznych.

Plany te krzyżuje właściciel willi, do której los sprowadził montera. Zrujnowany geszefciarz, ojciec miłej wiedeneczki, którąśmy poznali w pierwszych scenach, namawia znalazcę dolarów, aby zwrot ich odłożył na parę godzin.

W ciągu aktu drugiego jesteśmy świadkami błyskawicznego powstania spółki akcyjnej, mającej na celu urządzenie i eksploatację wielkiej pływalni w gmachu teatru, zrujnowanego przez kryzys. Geszefciarz, ściągnąwszy do siebie telefonicznie kilku finansistów, przedstawił im montera, jako poważnego kapitalistę. Na widok dolarów, których *notabene* monter ani przez chwilę nie zamierzał ulokować w podejrzanem przedsiębiorstwie — subskrybowali natychmiast kapitały, niezbędne do uruchomienia interesu. Pieniądze znalezione wcale do niego nie weszły. Posłużyły jedynie jako przynęta dla kapitałów postronnych.

Czyż to tylko farsa i nic więcej? Nie. To ostra satyra na stosunki rzeczywiste. Żartobliwa ilustracja sceniczna zagadnień, poruszanych poważnie przez ekonomistów i polityków.

Scena posiedzenia organizacyjnego spółki akcyjnej jest kulminacyjnym punktem sztuki. Dała ona obszerne pole do popisu panom Kurnakowiczowi i Orwidowi, którzy potrafili je znakomicie wykorzystać. Grali obaj koncertowo, wynagradzani sowicie brawami przez wdzięczną galerję.

Zakończenie sztuki jest, niestety, mniej pomysłowe, niż jej początek. Autorowie rozplątali intrygę sposobikami cokolwiek zanadto oklepanemi. Znalezione dolary zostały przez pomyłkę spalone w piecu, poczem okazało się, że były fałszywe. Monter zarobił na akcjach dostateczną ilość pieniędzy, żeby założyć przedsiębiorstwo instalacyjne na wielką skalę i ożenić się bogato.

Krotochwila ta nie posiada przesadnie wygórowanych ambicyj literackich, obfituje jednak w dowcipne powiedzenia i w dobre sytuacje sceniczne, (nie całkowicie przez reżyserję wyzyskane). Odegrano ją w bardzo odpowiednich dekoracjach, skomponowanych starannie przez Karola Frycza.

ZASTĘPCA

NOWE KSIĄŻKI

Sosnkowski Ignacy. Mały katechizm społeczny. Książka dla wszystkich. Warsz. (1933). Dom Książki Pol. Cena 1 zł.

Piasecki Eugenjusz. Prof. Dalsze badania nad genezą ćwiczeń cielesnych. Palant polski. Odb. z „Wychowania Fizycznego“.

Reinhard Wilk. dr. Katolik świecki w nadprzyrodzonym organiźmie Kościoła. Poznań 1933. Inst. Akcji Katol.

Jeszcze o sprawie wolności Szkół akademickich. Kraków 1933. S. 18 (Uchwała Warsz. Tow. Naukowego).

Berent Wacław. Próchno 2 t. Powieść. Gebethner i Wolff. Pism t. II i III.

Sten Wiesław. Jahwe w świetle astronomji i astrologji biblijnej z 144 rysunkami. Warsz. 1932. Nakład autora. Str. 253 i atlas.

W obronie wolności szkół akademickich. Głosy (50 profesorów uniw.) Kraków 1933. Skład gł. w Domu Książki Polskiej. S. 234.

Kłos Józef ks. Wyprawa na Bożą rolę. Wspomnienia i wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej, z ilustr. T. I i II. Poznań 1932. Księg. św. Wojciecha.

Lechicki Czesław. W walce z demoralizacją. Szkice literacko-społeczne: Tomy I i II. Miejsce Piastowe, 1932. Wyd. Tow. św. Michała Archanioła.

Kłos Józef ks. Pan Jezus przed sądami ludzkiemi. Sześć kazań pasyjnych. Poznań 1933. Ks. św. Wojciecha.

Iwaszkiewicz Jarosław. Panny z wilka. Powieść. Gebethner i Wolff, Warsz.

Stołyhwo Kaz. Zagadnienie rasy nordycznej w nauce i polityce. Toruń 1932. Instytut Bałtycki.

Tymieniecki Kaz. Dziejowy stosunek Polski do morza. Toruń. 1932. Inst. Bałtycki.

Chrzanowski Bernard. Tadeusz Kościuszko a powszechna edukacja. Poznań 1933. Przyjaciel szkoły.

Nowak Juljan. Satyra polityczna Sejmu Czteroletniego. Kraków 1933. Prace histor.-literackie, nr. 41. Str. 233.

Kostek-Biernacki Wacław (Brunon Kostecki). Straszny gość. Kraków 1932. Skład w Domu Książki Pol.

Gąsiorowski Wacław. Pigularz. Powieść. Wyd. IV. Warsz. 1933. Dom Książki Pol.

Program gospodarczy Centralnego Związku Przemysłu Polskiego. Warsz. 1933. Str. 163.

Wydawnictwo Polskie (R. Wegner) w Poznaniu wydało:

Weyssenhoff Józef. Znaj pana (nowele).

Mycielski Stan. W sercu dżungli.

Klein Ernst. Szalona księżna. Powieść. Przekład F. Hennera.

Niehetycki K. Z. Współczesne zagadnienia naszego bytu. Wyd. II Warsz. 1932. Str. 51.

Parandowski Jan. Dysk Olimpijski (Powieść). Warsz. Gebethner i Wolff.

Berent Wacław. Pisma t. I. Fachowiec. W puszczy. Warsz. Gebethner i Wolff.

Surzycki Stefan prof. Un. Walka o autonomję uniwersytecką. Warsz. 1933. Odbitka z „Myśli Narod“.

Prędski Artur. Bełtowski zredukowany. Powieść. Warsz. 1933. „Sfinks“.

OFENSYWA

ZAGŁĘBIE DĄBROWSKIEGO

ANNA Pawełek, Polka-Amerykanka po pobycie kilkodniowym w Kapellnerowie (b. Kraków), ogłosiła potem swe wrażenia:

„Gdy Polska odzyskała swą wolność po wojnie światowej, Polacy w Ameryce cieszyli się zmartwychwstaniem Ojczyzny i wyobrażali sobie zarazem, jaka to suma radości musi panować wśród ludu, uwolnionego z pod obcego jarzma. Tymczasem bliższe poznanie Krakowa odsłania na tym fragmencie odmienne oblicze Polski i narzuca pytanie, czy Polacy wogóle są tacy martwi, tacy zimni i tak przygnębieni? Wszak Kraków jest miastem nauki, sztuki i wspomnień świetnej przeszłości. W takiej atmosferze powinni żyć ludzie o twarzach spokojnych, zrównoważonych, z pogodą wewnętrzną w oczach. A tu chodzą po ulicach nerwowemi krokami ludzie, mający smutek przygnębienia w oczach".

2) W „Głosie Narodu" czytamy:

„W sali krakowskiego kina „Uciecha" odbyło się w ubiegłą niedzielę w samo południe zebranie, urządzone przez towarzystwo „Świadomego macierzyństwa". Główny referat wygłosił p. Szczepański, redaktor „IKC". Sala była wypełniona słuchaczami, głównie żydowskiej narodowości. Na tem zebraniu poddano krytyce stanowisko katolików Krakowa, zaznaczone na wiecu w Domu Katolickim w jedną z ubiegłych niedziel. Krytyka tego stanowiska, jak i wogóle krytyka katolickiego poglądu na małżeństwo i rodzinę, wywoływała burze oklasków (!). Grupa katolików, którzy przybyli na to zebranie, chciała przeprowadzić polemikę z referentami. Głosu im jednak nie udzielono i wywołano zamieszanie, skutkiem którego policja usunęła katol. uczestników. Zebranie nosiło charakter prowokacji uczuć moralnych i religijnych katolickiego Krakowa. Podkreślić należy, że redaktor sanacyjnego organu współdziała z wybitnym przedstawicielem lewicowego socjalizmu p. Drobnerem, który również brał udział w dyskusji".

3) W Krakowie wychodzi miesięcznik, poświęcony zawodowym sprawom adwokatury krakowskiej. Treść zeszytu styczniowego b. roku:

„Adw. Dr. Henryk Berman: Luźne uwagi do przepisów k. p. c. o postępowaniu egzekucyjnem. — Adw. Dr. Wilhelm Goldblatt: Położenie adwokatury w Polsce. — Adw. Dr. Zygmunt Femchel: Egzekucja z płacy i ochrona jej w postępowaniu egzekucyjnem. — Adw. Dr. Leon Geldwerth: Czynsz najmu w kodeksie postępowania cywilnego. — Adw. Dr. Wilhelm Goldblatt: Dr. Leon Peiper: Komentarz do Kodeksu Karnego i Prawa o Wykroczeniach. Mgr. Gustaw Gitreil: Przyczynek do wykładni art. 201 k.k. — Adw. Dr. Maksymiljan Schlank: Art. 7 k. p. c."

4) Podane w „Głosie Narodu" (1932):

„W restauracji hotelu Pollera doszło onegdaj wieczór do przykrego zajścia, którego świadkiem było liczne grono osób, przebywających wówczas w lokalu. Dwaj dziennikarze krakowscy, współpracownicy jednej i tej samej redakcji („Ilustr. Kurjera Codz.") prowadzili ożywioną dyskusję, podobno na temat polityczny. W pewnej chwili dyskusja zaogniła się, jeden z rozmawiających chwycił sąsiedni stolik i uderzył nim swego kolegę, raniąc go lekko w czoło. Dalszej walce położyła kres interwencja osób trzecich. Tej, bynajmniej nie budującej scenie, przyglądało się wiele osób, komentujących następnie w odpowiedni sposób zachowanie się dziennikarzy w miejscu publicznem. Nie wchodząc w szczegóły dyskusji, która tem zajściem został zakończona, należy stwierdzić, że inscenizowanie tego rodzaju karczemnych widowisk w miejscach publicznych zasługuje na stanowcze potępienie, bez względu na to, ktokolwiekby był ich „bohaterem". Tem gorzej, jeżeli jest nim dziennikarz, już z racji zawodu swego szczególnie obowiązany do zachowania odpowiednich, przyzwoitych form, a już zwłaszcza w miejscach publicznych".

5) Zaproszenie na Obchód Purimowy.

„Pod protektoratem JWP Wojewody Dra Mikołaja Kwaśniewskiego;

JWP. Dowódcy Okr. Korp. Nr. V. Gen. bryg. Aleksandra Jerzego Łuczyńskiego;

JWP. Prezydenta stoł. król. miasta Krakowa Dra Mieczysława Kaplickiego.

Godz. 9.45 przedpoł. Przemarsz szeregowych z orkiestrą ulicami Stradom, św. Getrudy, Potockiego, Lubicz do Domu Żołnierza Polskiego.

Godz. 11—13 przedpoł. Uroczystość w Domu Żołnierza:

a) przemówienie Komendanta Garnizonu JWP. Gen. bryg. Bernarda Stanisława Monda.

b) przemówienie Prezydenta Gminy Wyznaniowej żyd. JWP. Dra Rafała Landaua".

6) Zakupy „Muzeum Narodowego" (informuje żydowskie pismo „Nowy Dziennik"):

„Miarą wysokiego poziomu artystycznego obecnej wystawy Zrzeszenia Żyd. Artystów Malarzy i Rzeźbiarzy, obejmującej zbiorowe wystawy Efraima Mandelbauma, Norberta Nadla i Norberta Strassberga, oraz wystawę bieżącą Kolnik, Birnbauma i Immerglücka, jest fakt, że Dyrekcja Muzeum Narodowego w Krakowie zakupiła onegdaj z eksponatów tejże wystawy obraz Efraima Mandelbauma „Wenecja" i obraz Norberta Nadla, portret prokuratora dra T. Kułakowskiego".

7) Prof. Jarocki, b. rektor Akademji Malarskiej na odbytym dorocznym „obiedzie Czasu" zdawał sprawę ze stanu gospodarczego artystów plastyków. Okazuje się, że:

„Wartość sprzedanych biletów rocznych w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, którego budżet całkowity zamyka się w cyfrze 70.000 złotych, spadła w 1932 r. o 7.940 zł., zaś biletów wstępu o 7.711, czyli razem o przeszło 15.000 zł. Jest to spadek szalony. W r. 1930 sprzedano w Krakowie prywatnym odbiorcom dzieł malarskich za 23.000, w 1931 prywatnych zakupów w Krakowie dokonano na sumę 12.000, w 1932 za 3.230 zł."

8) „Czas" nr. 292 (recenzja z „Sułkowskiego"):

„Genjusz Żeromskiego spotkał się dziś na scenie krakowskiej z genjuszem inscenizatorskim i aktorskim Osterwy. Nietylko grano arcydzieło, ale grano je po mistrzowsku. Wszyscy aktorzy grali nietylko dobrze i poprawnie, ale poprostu doskonale, z przejęciem, ze zrozumieniem.

I gdy na krakowskiej scenie odbywało się jedno z najpiękniejszych przedstawień, o jakiem zamarzyć można, gdy grano cudownie wspaniałą sztukę, gdy się rzeczywiście traciło poczucie czasu i miejsca, gdy zachwyt i wzruszenie dech zapierały — teatr był pusty...

Jeśli taki teatr nie „pójdzie" — to nie pójdzie żaden i widocznie potrzebne jest w Krakowie jedno kino więcej, lub kabaret, a w takim razie rzeczywiście niema co dyskutować".

9) Prof. Wł. Skoczylas o domu „Feniksa" na krakowskim rynku:

„Gdy przed dwoma laty stała się rzecz ze stanowiska ochrony zabytków potworna, gdy na rynku Krakowskim wybudowano olbrzymi gmach austrjackiego towarzystwa asekuracyjnego „Feniks", który na całe wieki zeszpecił ten najpiękniejszy w Polsce plac i gdy wtedy nie podniósł się żaden poważny głos protestu, zdawało się, że sumienie artystyczne nie tylko Krakowa, ale całej Polski przestało istnieć".

10) Obecny proces Gorgonowej. „Styl" rozprawy i żargon całego kompletu. Atmosfera moralna. „Dowcipy". Kryminał.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W prasie żydowskiej ukazała się wielka, hałaśliwa rubryka, zatytułowana: „W o j n a ż y d o w s k a". Masonerja organizuje sztab generalny przy kwaterze głównej. Biuletyny z pola walki zapowiadają Europie Marnę. Z tego można wnosić, że zanosi się na długą wojnę.

Nowa karta w dziejach.

*

Żydzi są wobec Hitlera nieprzejednani, na jednym jednak punkcie są z nim zupełnie zgodni, mianowicie co do Polski.

Zarówno im, jak Hitlerowi zależy przecież na tem, aby Polska przygarniała do siebie jak najwięcej żydów i dawała im przywileje,

*

Twórca teorji względności Einstein, gdy mu teraz policja niemiecka skonfiskowała sumę bankową 20.000 mk., miał powiedzieć:

— Ta bezwzględność przechodzi pojęcie ludzkie!

*

P. Sławek po zamknięciu sesji sejmowej wygłosił przemowę do swego Klubu, którą zakończył słowami:

— A teraz, panowie, weźmiemy się do organizowania społeczeństwa.

Wtedy ktoś dobroduszny zapytał:

— Jakto, z powrotem?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.